



Diana Hamilton

Prezent nie tylko świąteczny



ROZDZIAŁ PIERWSZY

- A więc to będzie twoje zwykłe Boże Narodzenie, bez niespodzianek. - Dawn wyraziła to przypuszczenie, przeciągając się w fotelu, ustawionym w przytulnej bliskości połyskującego metalem pieca kuchennego. - Moje biedactwo! Matts, mogłabyś jednak od czasu do czasu zafundować sobie jakąś odmianę. - Łagodny wyrzut zabrzmiał w głosie Dawn. Jej kształtne ciało przeciągnęło się znowu, a Mattie, spoglądając na swą najdawniejszą i najlepszą przyjaciółkę, zastanowiła się, czy jej własna matka kochałaby ją, gdyby była bardziej podobna do Dawn, to znaczy miała jej urodę, otwartość, energię, zamiast. ...

Odegnęła te myśli. Wszystko się przecież skończyło. Jej matka zmarła dziewięć lat temu, gdy Mattie miała lat szesnaście, i cóż, nie warto się cofać do przeszłości. Nic jej nie wróci ani nic się już w niej nie zmieni.

- Ty natomiast będziesz miała mnóstwo gości, jak rozumiesz - odezwała się Mattie, sięgając po okulary do czytania i zdejmując z półki swoją książkę kucharską.

- Wszystkich bliskich - uśmiechnęła się Dawn. - A

oprócz tego Franka z jego rodzicami. Mają przyjechać w Wigilię, czyli jutro. Ciebie też oczywiście zapraszam. I zabierz ze sobą ojca. Skoro wasza pani Flax ma urlop, oszczędzisz sobie mitręgi w kuchni... Aha! No i poznasz mojego nowego narzeczonego.

- O! - ucieszyła się Mattie, przerywając manipulację przy kuchennej wadze. - Ale nie wiem - zastanowiła się - czy rzeczywiście uda mi się przyjść... Bo wiesz, pojawił się James. Zadzwonił dziś rano i zapytał, czybyśmy go nie zaprosili do nas na święta.

- James! No, no - uniosła brwi Dawn. - Słyszałam, słyszałam, co mu się przydarzyło... Ale przecież jego też możecie zabrać. Wszystkich was zapraszam.

Mattie zabrała się do mieszania mąki z jajkiem.

- Bardzo ci dziękuję - powiedziała. - Tylko wątpię, czy w tym stanie ducha, w jakim James się znajduje, będzie miał ochotę na jakieś szersze towarzystwo.

- Rozumiem - skinęła głową Dawn. - Zaczęło się wielkie opłakiwanie.

- Opłakiwanie? Wątpię. - Mattie dosypała mąki. - O ile wiem, James nie należy do mężczyzn, którzy w ogóle potrafią płakać.

Od kiedy go znała, był człowiekiem nie okazującym żadnych emocji. Najpierw był partnerem jej ojca w interesach, później, w stosunkowo młodym wieku dwudziestu pięciu lat, przejął przedsiębiorstwo własnego ojca, gdy ów - dekadę temu - zmarł właśnie. James wydał się zawsze pewny siebie, opanowany i zdystansowany.

Można było osądzić, iż żyje w świecie, w którym nic nie może go dotknąć.

Teraz pewnie jednak cierpi. Być tak jawnie porzuconym przez kobietę, którą zamierzało się poślubić - rzecz taka nie może nie boleć. Oczywiście on nic po sobie nie pokaże. Mattie znała go wystarczająco dobrze, aby być tego pewna.

- Rozumiem, że nie będzie wylewał łez publicznie - zgodziła się Dawn. - Ale tobie zechce się może jednak wyżalić. Od kiedy jego oboje rodzice nie żyją, ty i twój ojciec staliście się dla niego jakby drugą rodziną. Ucierpiało jego ego, jeśli nie coś więcej. Ego to przecież czuły organ.

- Czuły organ! - zaśmiała się Mattie. I zaraz spoważniała, bo tak naprawdę nie było jej do śmiechu. Żal jej było Jamesa. Nie mogła pojąć, jak ta wariatka, Fiona Cambell-Blair, mogła odrzucić jego oświadczenia. Dała kosza tak atrakcyjnemu mężczyźnie.

Westchnęła.

- Wiesz co? A może lepiej zmienimy już temat? Napijemy się kawy, chcesz? Dawn, ty tak dobrze robisz tę swoją po turecku... - Sama po tych słowach znów zajrzała do książki kucharskiej. - Wcale nie jestem zadowolona - zamruczała, dobierając kolejne jajko - że nasza pani Flax akurat teraz musiała pójść na urlop.

Pani Flax bez trudu uzyskała wolne, ponieważ ojciec Mattie nie uznawał żadnych świąt, od kiedy został wdowcem. Boże Narodzenie zapowiadało się więc w Berrington House jako zwykły czas, wzorem lat

ubiegłych. Spodziewany udział Jamesa zmieniał jednak sytuację. Mattie postanowiła, że Wigilia powinna być tradycyjna. Niewiele może ofiarować Jamesowi, ale tyle może dla niego zrobić.

Dawn postawiła na kuchni tygielek. Znalazła pudło z kawą. Sięgnęła do kredensu po cukier i filiżanki. Ruszała się przy tym prędko i zgrabnie. Mattie popatrywała na nią spod oka. Chociaż dzieliło je zaledwie parę lat, czuła się nieraz od swej przyjaciółki starsza o całe wieki.

Skończywszy przygotowania, Dawn rzuciła od niechcienia:

- Rozegraj dobrze swoją kartę, Matts, a może złapiesz chłopca z odzysku.

Chłopca z odzysku? Cóż to za język! I w ogóle co za insynuacje. Mattie rzuciła wałek na stolnicę.

- No wiesz, Dawn! Czasem wygadujesz głupstwa, jak jakaś... - Nie dokończyła zdania.

James Carter i Matilda Trent? Cóż za pomysł! On lubi kobiety reprezentacyjne, piękne. Na przykład takie, jak ta jego, chociaż już nie jego Fiona. Kobiety, które się zauważa w tłumie. Nie te szarutkie, jak Matilda.

- Skoro tak uważasz... - Dawn wzruszyła ramionami.
- A jednak pomyśl o tym. Zanim zaczęłam pracować w Richmond, obie byłyśmy nierozłączne, prawda? A to oznacza, że w praktyce i jego widywałam równie często, jak ty. - Zdjęła z kuchni tygielek i zaczęła cedzić kawę. - No i widziałam wtedy, jak on się zachowuje względem

ciebie. Był opiekuńczy i delikatny. Może się mylę, ale było w tym niemało uczucia... A teraz, gdy mu odmówiła ta damulka z pseudowyzszych sfer, pusta lalka, z pewnością doceniłby kogoś inteligentnego, lojalnego, spokojnego... A ty, Matts, o ile wiem, kochasz się w nim już chyba z dziesięć lat! To znaczy, od kiedy go poznałaś.

„Lojalnego, spokojnego”... No cóż, na pewno w tej chwili Mattie nie czuła się spokojna. Dawn poruszyła w niej bolesną pamięć, wywołując burzę uczuć i zbyt dużych nadziei.

Tak, Mattie kochała Jamesa. Ale miłością bez szans, jak przypuszczała. Jakże najlepsza przyjaciółka może tak ranić jej serce? Po co kusi do czegoś, co może przynieść tylko cierpienie?

Mattie poczuła, że ma pod powiekami łzy.

James zgasił reflektory i wysiadł ze swego jaguara. Spojrzał w wygwieżdżone niebo i zaciągnął się rześkim powietrzem grudniowej nocy. Poczul, że tu, w Sussex, zaczyna się wreszcie odprężyć.

W kilku oknach Berrington House płonęło światło, jednak większa część budynku pogrążona była w ciemnościach.

W drodze z Londynu James zastanawiał się, czy było to naprawdę słuszne, że wprosił się na kilka dni do Trentów. Teraz jednak, pod tym niebem i w tej ciszy, porzucił wątpliwości.

Spokój i oddalenie: oto czego mu było potrzeba po

tej historii z Fiona. Lecz rolę odgrywało w tej chwili nie tylko to, gdyż Berrington House był też jakby jego drugim domem. Przywykł myśleć o siedzibie Trentów niby o gnieździe, gdzie zawsze znajdował zrozumienie i gdzie kiedyś uczył się także stawiać pierwsze kroki w prowadzeniu interesów.

Dzisiaj duszą owego domostwa była Mattie. James liczył na starą przyjaciółkę... W istocie głównie dla niej tu przyjechał. Cóż lepiej leczy rany niż niezawodna przyjaciółka?

Mattie ma liczne zalety, oceniał, nie narzuca się, jest inteligentna i łagodna. Bezinteresowna. To ostatnie wynikać może z jej niepraktycznego stosunku do realiów życia... Całe miesiące zajęło jej oswojenie się na przykład z komputerem. Egzamin na prawo jazdy zdała dopiero za ósmym razem. James uśmiechał się, myśląc o tych wszystkich szczegółach.

No i jeszcze ów tak odświeżający u niej brak kobiecej próżności! Żadnej kokieterii, strojenia się czy malowania.

Tak, tak, właśnie kontaktu z Mattie najbardziej mu teraz potrzeba.

Myszka. Uśmiechnął się znowu. Mądra szara myszka. Dużo książek „zjadła” w swoim życiu. A nie tylko je czyta, bo również pisze. Dokładniej: tłumaczy. Ma ostatnio na warsztacie zdaje się jakieś dzieło, które przekłada z niemieckiego, i to wcale nie na angielski, lecz na włoski. Bo Mattie zna wiele języków.

James rozważał to wszystko, idąc wyżwirowaną alejką prosto ku portykowi Berrington House. Pod pachą ścisnął niewielki neseser z najniezbędniejszymi drobiazgami. Zanim nacisnął dzwonek, zastanowił się jeszcze, czy jemu samemu chciałoby się pracować, gdyby nie musiał, tak jak Matts nie musi. Mogłaby mieć przecież wieczne wakacje, dzięki majątkowi ojca. Tymczasem wybrała życie czynne i więcej, życie człowieka myślącego.

Drzwi otworzył mu pan domu, Edward Trent. Jak na kogoś zbliżającego się do sześćdziesiątki, były partner Jamesa wyglądał wcale młodo; włosy miał ledwie przyproszone siwizną i nieprzerzedzone. Spojrzenie miał żywe, w tej chwili nieco zakłopotane.

Edward Trent nie bardzo sobie radził z emocjami. Zazwyczaj żadnych nie przejawiał, co zresztą sprawiło, że dobrze się porozumiewali właśnie z Jamesem.

- Dziękuję za schronienie na te kilka dni - odezwał się James, przekraczając próg. - Wracam tu jak na stare śmieci - dodał z cieniem uśmiechu. - Tego mi było potrzeba. A co się tyczy Fiony Campbell-Blair - wykrzywił usta - to uprzedzając ewentualne pytania...

- Żadnych nie będzie - zapewnił szybko Edward. - W tej sprawie powiem ci tylko, że oboje z Mattie uważamy pannę Campbell-Blair za niegodną ciebie, niewdzięczną, samolubną, przy tym okaz ludzki pospolity. Choć z rodowodem... No a teraz - nabrał powietrza - powiedz, co wolisz: odświeżyć się w swoim pokoju, czy od razu wypić ze mną szklaneczkę przy kominku?

- Chodźmy na drinka - zdecydował się James, kładąc swój neseker na stopniu szerokich schodów w holu.

Skierowali się ku salonikowi. Jamesowi przemknęło przez myśl pytanie, od kiedy to Mattie zna się na pięknych kobietach? I w ogóle na życiu? Ona jest przecież raczej niezyciowa... Co ona może wiedzieć o pożądaniu, skoro nie uprawia seksu? A piękne kobiety spełniają także i funkcje reprezentacyjne: czy Mattie ma o tym pojęcie? Jej własna matka była... Ale mniejsza z tym.

Zajęli z Edwardem miejsca w dość monumentalnych fotelach, między którymi stał trójnożny chippendale -stolik łączący motywy gotyku, baroku i chińszczyzny. Pan domu sięgnął po karafkę słodowej whisky i napełnił dwie szklanki.

- Z wodą? - zapytał.

- Może być - skinął głową James. Sączyli przez chwilę napój w milczeniu.

- A gdzież to nasza Matilda? - zagadnął James.

-Czemu się do nas nie przyłączy?

Edward spojrział przez szkło na ogień.

- Ma jeszcze trochę zajęć w kuchni... Gospoś, pani Flax, wzięła akurat wolne i musimy sobie sami radzić - wyjaśnił.

- Biedna Mattie - pokręcił głową gość. Upił łyk.

-Mam chyba nieczyste sumienie - powiedział.

- I dlaczegóż to? - Edward gestem zaproponował uzupełnienie szklanek.

- Narzuciłem wam swoje towarzystwo, i teraz Mattie musi...

- Nic się nie martw - machnął ręką Edward. - Ta kuchnia bawi naszą małą. Przecież ona nie jest żadną gospodynią. Poeksperymentuje sobie tylko, popróbuj czegoś. Zbierze doświadczenia.

Mattie wcale nie była w kuchni. Była w swojej sypialni i wbrew zwykłemu swym zwyczajom obracała się teraz w lewo i w prawo przed lustrem. Próbowwała spojrzeć na siebie oczami Jamesa... Usłyszała, będąc na dole, jak podjeżdża jego jaguar, i nagle się połapała, że jest w wytartych dżinsach i w dość niechlujnym swetrze. Pobiegła więc, aby się przebrać. Teraz włożyła brązową wełnianą spódnicę i płowy pulower, co powinno harmonizować z jej orzechowymi włosami i bursztynowymi tęczańkami... A jednak nie bardzo harmonizowało. Mattie była z siebie niezadowolona.

Skrzywiła się i pokręciła głową. W takim razie nie będzie też robiła makijażu; im mniej maskarady, tym lepiej! Cóż, jest dosyć przeciętnym okazem ludzkim, oceniła. Intensywne wpatrywanie się w zwierciadło nie zmieni zarysu nijakiego nosa, zbyt grubych warg i niezbyt subtelnej szczęki.

Poza tym James nie zwraca, zdaje się, w ogóle uwagi na jej wygląd. Gdyby na dzisiejszej kolacji wystąpiła w burym worku, też by było dobrze. Mysz: tak ją przecież nieraz nazywa. „Myszka”. Traktowana jest przez niego

po przyjacielsku, a to znaczy, że właściwie poza ciałem. I przywykła już do tego. Gdyby nie wczorajsze przemówienie Dawn, nie byłoby dzisiaj żadnego problemu, oceniła. Nie mizdrzyłaby się teraz przed lustrem. Obsadzona w fałszywej roli.

Cóż, róbmy jednak dobrą minę do złej gry, wzruszyła ramionami. Brązowa spódnica, płowy sweter, włosy w koński ogon: zostanmy przy tym. Mattie odwróciła się na pięcie, z zamiarem dołączenia do obu panów, którzy teraz bez wątpienia popijają coś na dole, siedząc przy ogniu.

- Oczywiście, że zamierzam pomóc przy lunchu -oznajmił stanowczym tonem James następnego poranka.
- Cóż to, ma się dwie lewe ręce? Poza tym... - uniósł szelmowsko jedną brew - żadne z nas nie przygotowywało jeszcze kompletnego posiłku świątecznego i rezultaty mogą być zabawne.

Mattie zagryzła dolną wargę. Co on takiego w sobie ma, że ją zniewala? Czy jej dusza koniecznie musi podlegać owemu naiwnemu rozanieleniu, kiedy James jest blisko? Nie wszyscy wysocy szatyni o szerokich ramionach i bystrym spojrzeniu szarych oczu robią na niej takie wrażenie.

Westchnęła.

- Widzę, że boisz się moich solowych popisów kulinarnych - powiedziała. - Chociaż... - zrobiła skruszoną minę - wczorajsza Wigilia wypadła rzeczywiście nie najlepiej...

„Nie najlepiej" było tu łagodną oceną. Ryba okazała się w istocie półsurowa, sałatki źle wymieszane, a drożdżowe ciasto miało zakalec.

- Nie nabrałam jeszcze wprawy - tłumaczyła się Mattie - bo stale gotuje nam pani Flax. Ale to nie znaczy, że nic nie umiem. Ostatecznie wszystko jest kwestią logiki i planowania. Przy tym dobra książka kucharska...

Przerwała, widząc w oczach Jamesa iskry wesołości. Wzruszyła ramionami i dokończyła sucho:

- W każdym razie dzisiejszy lunch mam przemyślany w najdrobniejszych szczegółach, aż do jarzynki z mrożonej brukselki.

Praca nad strategią tego posiłku trwała do późna w nocy i sprawiła, że Mattie miała dziś cienie pod oczami. Co prawda istniał natychmiastowy zysk z owego trudu. Bo nie było czasu, aby uzmysłwić sobie wyraźnie, iż James śpi pod tym samym dachem co ona. Śpi? A może leży bezsenno, biadając nad utraconą miłością?

- Wiesz co? - zaproponowała. - Po co masz siedzieć ze mną w kuchni? Tata chciał z tobą pogadać o jakimś projekcie kompleksu hotelowego... To ma być, zdaje się, w Hiszpanii? Czy we Włoszech?

- W Hiszpanii - potwierdził James. - Ale rzecz może poczekać. - I uśmiechnął się lekko, bo ona miała taką poważną minę i szczerze zamiary i te swoje złote kocie oczy, ujęte w ramki okrągłych okularów i włosy ściągnięte w koński ogon... - Tak czy siak - podjął - mam ochotę ci pomóc. Jeśli nie co innego, to obiorem przynaj-

mniej kartofle, albo zrobię nam kawy, albo będę ci ocierał pot z czoła. Mam chęć na poranek w twoim towarzystwie. Co ty na to?

Mówił prawdę. Lubił przebywać blisko Mattie. Bawiło go na przykład przyglądanie się jej zmaganiom z różnymi sprawami praktycznymi. Znał na pamięć sposób, w jaki ściągała brwi, pilnie coś wykonując, albo wysuwała różowy koniuszek języka. Naprawdę lubił w Mattie wiele rzeczy.

- No, jak chcesz. - Zdjęła okulary. Przecierała je powoli, nie całkiem przekonana, że James w istocie chce z nią teraz być. Mattie miała wysoce krytyczny stosunek do siebie i nie wierzyła w jakiś swój szczególny urok. Gdyby była na jego miejscu, nie zawracałaby sobie głowy kimś takim, jak ona.

Drugiego dnia świąt James po śniadaniu zaczął się zbierać do odjazdu. Ojciec Mattie oświadczył, że w takim razie on się od razu pożegna, bo odczuwa potrzebę ruchu i chciałby teraz wyjść na spacer.

- Uratowałaś nasz honor, córko - mówił, ubierając się w holu. - Zwłaszcza wczorajszy obiad był... - tu zawiesił głos, jakby go coś nagle oświeciło. - Ach tak, przecież pomagał ci James. No, we dwoje - uśmiechnął się - stworzyliście działający efektywnie, a może nawet efektownie zespół.

Po tej popisowej grze słów pomachał obojgu ręką i zniknął za drzwiami.

James poszedł się pakować. Po kwadransie zeszedł na dół, do kuchni. Mattie udawała, że jest spokojna. Gotowa była mu po prostu podać rękę na pożegnanie. Jednak przesywała ją, już teraz, tęsknota. Kiedy się znowu zobaczą? Za ileś tam miesięcy? Może za rok?

- A więc jedziesz. - Zdjęła okulary.

- Co robić, jadę. - Zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie.

Spojrzała nań krótko. Wydał jej się taki przystojny! I nawet te wytarte džinsy i znoszona kurtka skórzana, które włożył na drogę, nie umniejszały wrażenia, jakie czynił.

Nie, nie powinna była się poddawać żadnym wrażeniom. Trzymała na wodzy swe uczucia przez lata, nie pozwalając, by nad nią brały górę. To i teraz da sobie z nimi radę. Jeszcze jak sobie da!

- Może napiłbyś się przed wyjazdem kawy? - zaproponowała. - Ja mam ochotę. - I nie czekając na odpowiedź, odwróciła się, otwierając kredens.

- Nie, dziękuję - odrzekł. Odrywając się od drzwi, postąpił kilka kroków naprzód. - Ale jest coś, o co rzeczywiście chciałbym cię prosić. Może mnie z tym pogonisz, czy ja wiem... Jednak ufam, że raczej spokojnie rozważysz moje słowa.

Spojrzała przez ramię, zsuwając okulary na czubek nosa. Uśmiechnął się, bo dobrze znał i ten gest swojej Mattie, wyrażający mieszaninę gotowości do namysłu i niedowierzania. Rozbawiło go także to, że sam siebie

właściwie zaskoczył tym, co miał teraz do przedstawienia. Pomysł był dobry, jak mu się wydawało, I nie był specjalnie nowy. Nieraz już przychodził mu do głowy, tyle że nie pozostawał w niej zbyt długo.

- Mattie - powiedział. - Czy wyjdiesz za mnie za mąż...?

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Stało się coś okropnego, poczuła Matilda. Serce zaczęło jej tak walić, że bała się, iż wyskoczy z piersi. Zaczęło jej dzwonić w uszach. Na moment przestała widzieć. Dyszała ciężko.

James jej się oświadcza? Właśnie jej?

- Mattie...

Oparła się o blat kuchenny. Było jej słabo... I jednak pozostała czujna. Wyraz rozbawienia w oczach Jamesa kazał jej dojść do wniosku, że chodzi tu o jakiś żart.

Cóż to jednak za żarty, jak on śmie! Tak się nie postępuje w prawdziwej przyjaźni.

Zmusiła się do wykonania jakiegoś ruchu. Zrobiła dwa kroki w stronę kredensu i sięgnęła po tygielek do kawy... Ona sobie zrobi mokkę, nawet jeśli on nie ma ochoty.

- Uważaj, James... - zaczęła, nie odwracając głowy. - Takie żarty mogą się kiedyś zwrócić przeciw tobie. Ktoś mógłby tę propozycję potraktować poważnie, a to by oznaczało konsekwencje.

- Ależ ja nie żartowałem! - Zbliżył się do niej. Zamarła. Nie, to niemożliwe. To jakiś spotęgowany koszmarny, choć o pozorach radosnego obrotu rzeczy.

James położył jej obie ręce na ramionach i spróbował obrócić ku sobie. Strząsnęła go. Nigdy się dotąd nie dotykali, nawet przypadkiem. I wobec tego w tej nagłej poufałości było coś prawie nie do zniesienia, mimo że gdzieś w głębi - upragnionego.

- Czy to ma coś wspólnego z tym, że Fiona... - zawiesiła głos - że Fiona dała ci kosza? Ona cię nie chce, więc ty się natychmiast oświadczasz komu innemu, aby dać jej poznać, że nie była pępkiem świata.

James milczał, o krok od niej.

- A więc...? - ponowiła pytanie. - Nie uwierzę, żebyś się we mnie nagle - postarała się być sarkastyczna - szalenie zakochał.

James dyskretnie zerknął na swego rolexa. Zamierzał spędzić popołudnie u siebie nad ważnymi dokumentami. Tymczasem to, co tutaj zaczął, zaczynało się przeciągać.

- Mattie, jesteś zbyt podejrzliwa. I obcesowa. - Pokręcił głową. - Powinnaś się wyzbyć tych wad. - Dało się wyczuć zniecierpliwienie w jego głosie, jakkolwiek łagodzone przez ton rozbawienia. - No i rzeczywiście nie zakochałem się w tobie szalenie - nawiązał do jej pytania. - Tak jak i ty prawdopodobnie nie jesteś we mnie zakochana. Idzie o coś innego.

Pogodził się już w myślach ze straconym popołudniem. Był zbytnim optymistą, jeśli wyobrażał sobie, że w dwie minuty wyłoży swe racje małżeńskie, a w ciągu następnych trzech bystry umysł Mattie uzna je za racjo-

nalne i do przyjęcia. Skrzywiona twarz przyjaciółki wyrażała w tej chwili dezaprobatę, jeśli nie tłumioną furję.

- Mattie... - perswadował. - Wysłuchaj mnie tylko, bardzo cię proszę. Otóż na początek... - Urwał, bo od strony kuchennego wejścia do domu dał się słyszeć jakiś rumor. Po chwili ukazał się w drzwiach Edward, otrzępujący śnieg z kurtki. A niech to. Już wrócił! Krótko trwał ten jego spacer. James był niezadowolony. Spodziewał się, że przeprowadzi niedługą, rzeczową rozmowę o pewnym kontrakcie, tymczasem dramaturgia całego wydarzenia wymyka mu się z rąk. I zamienia się w jakąś farsę.

Ojciec Mattie odpinał suwak i uśmiechał się do Jamesa.

- Widzę, że zdecydowałeś się zostać na lunchu? No i bardzo dobrze, bardzo dobrze. - Następnie zwrócił się do córki: - Ja sam chyba ominę ten posiłek, Mattie, bo zaczyna mi rosnać brzuch. - Poklepał się w okolicy żołądka. - Tak więc mnie nie bierzcie pod uwagę.

- Właściwie... - odezwał James, żegnając się w myślach ostatecznie z ideą popołudnia oddanego pracy. - W tej sytuacji może bym zabrał gdzieś Mattie na lunch? Przydałby jej się odpoczynek od kuchni po dwóch dniach przy garnkach.

Edward ze zrozumieniem pokiwał głową, Matilda zaś spojrzała zdziwiona.

- Ubierajmy się, Mattie - zaczął popędzać James. -No, a my - obrócił się ku panu domu - pożegnamy się

już teraz chyba na dobre, co? Jeszcze raz dziękuję ci serdecznie za gościnę.

Matilda pomyślała, czyby nie odmówić... Nagły pomysł lunchu nie został z nią przecież skonsultowany. No, ale gdyby zechciała coś teraz demonstrować, ominęłyby ją co najmniej wyjaśnienia związane z zagadką niesłychanej propozycji małżeńskiej Jamesa.

Tak więc ciekawość wzięła górę. Posłusznie ruszyła do holu. Po chwili wtykała już nogawki spodni w buty z cholewkami.

- Gotowa? - podzwaniał nad nią kluczykami do wozu James.

Wyprostowała się. Ależ mu się spieszy! Zerknęła ku niemu. Zaciskał zęby, a linia jego ust układała się w cienką kreskę... A więc „nie zakochał się w niej”, jak powiada. To oczywiste. I jest przekonany, że ona w nim też nie.

O, gdyby znał prawdę...

- Tak, jestem gotowa. I chciałabym wreszcie wiedzieć, do czego my tak naprawdę zmierzamy.

- Powiem ci podczas lunchu - obiecał.

Mattie włożyła na głowę czarny wełniany kapelusz, pod który niezgrabnie wcisnęła swój zwinięty w kok koński ogon. Nie było to wszystko twarzowe.

- No dobrze, chodźmy już - westchnął James.

Pojechali niedaleko, zaledwie pół mili, do miejscowego pubu. Mattie zdołała w drodze przypomnieć sobie, jak to przed laty marzyła właśnie o oświadczeniach Ja-

mesa. W jej dziewczynskiej wizji on klęczał, z bukietem róż, zza drzew wschodził księżyc i śpiewały słowiki. James przysięgał, że kocha ją od dawna, a ona łaskawie podawała mu dłoń do ucałowania.

No a jak wyglądają dzisiejsze, realne oświadczenia?

W pubie było pustawo i nic dziwnego, w Boże Narodzenie ludzie siedzą przecież na ogół w domu. Zajęli oboje kąt przy kominku, w którym dopiero teraz rozpalono. Na razie wewnątrz było chłodne, więc Mattie postanowiła nie zdejmować ani płaszcza, ani kapelusza. Na płaszcz James się zgodził, ale czarne brzydactwo własnoręcznie ściągnął jej z głowy.

- Tak jest lepiej - powiedział krótko i rozejrzał się za kartą dań.

Miała go ochotę trzepnąć po ręce, ale powstrzymała się, bo właśnie nadchodził kelner.

- Nie jestem głodna - powiedziała tylko.

- Radziłbym ci wziąć chociaż coś małego - pochylił się ku niej. - Może kanapkę? Tak będzie normalniej.

Zamówili więc dla niej sandwicza z krewetkami, a dla niego porcję lazanii. Mattie poprosiła jeszcze o czerwone wino.

- No i...? - Kiedy kelner odszedł, podjęła od razu wątek, przerwany w domu. - O czym będziemy mówili? Żenisz się ze mną, żeby się zemścić na Fionie?

Pokręcił głową, odchylając się w krześle.

- Ma to naprawdę niewiele wspólnego z Fioną. Uniosła brwi.

- Tu idzie głównie o mnie. - Założył nogę na nogę. - Bo widzisz... Poczułem, że w moim życiu nadeszła po prostu pora na to, żebym się ożenił. - Wzruszył ramionami. - Fiona zaś była tylko niezłą kandydatką, jak mi się wydawało. Reprezentacyjna, po college'u, i nie najgorsza z niej hostessa... - Tutaj urwał, postanawiając z oczywistych względów przemilczeć łózkowe walory swej byłej narzeczonej. - Chyba pamiętasz, Mattie - rzekł - że po ojcu, wraz z domem, odziedziczyłem panią Briggs, gospodynię. Pani Briggs udaje się wkrótce na emeryturę i w ogóle jest osobą starej daty. Umie zrobić obiad rodzinny, ale już nie przyjęcie dla delegacji biznesmenów z żonami, a ja co jakiś czas miewam takich gości. Potrzebuję kogoś...

Odchrząknął, widząc kelnera z tacą.

- Krótko mówiąc - podjął po chwili - uznałem, że najlepiej będzie, gdy ożenię się z kimś odpowiednim. Powiedzmy, że miałyby to być małżeństwo z rozsądku.

Po tych słowach sięgnął po widelec i zabrał się do swej lazanii.

Mattie poczuła, że gaśnie w niej ostatnia iskierka nadziei. A więc to taki człowiek. Wyrachowany. Ona go kocha, on zaś mówi o interesach. Wydawało się, że cierpi z powodu zerwanych zaręczyn z Fioną, tymczasem przeżywa tylko może krach pewnego opłacalnego przedsięwzięcia... O ile w ogóle coś przeżywa. Bo z jakim to apetytem teraz je!

Umoczyła usta w kieliszku. Postanowiła, że będzie

tak czy owak dzielna. Zebrała się w sobie i zdobyła na ironiczny uśmiech.

- W tym, co mówisz, jest mało logiki - wzruszyła ramionami. - Bo do organizacji przyjąć możesz sobie po prostu wynająć agencję. Hostessę do ozdoby też da się zawsze wezwać. Nie musisz się aż żenić, aby to wszystko mieć.

Spojrzał na nią. Przełknął i odłożył widelec.

- Punkt dla ciebie - uśmiechnął się. Odsunął talerz. - Wobec tego chyba coś dodam. Otóż, jak to mówią - pochylił się naprzód - postanowiłem się ustatkować, Mattie. To przede wszystkim dlatego chcę się żenić. Naszumiałem się w życiu dosyć - poruszył brwiami - i już wiem, że to do niczego nie prowadzi. - Sięgnął po jej kieliszek i upił mały łyk. - Wyjdź za mnie, Matts - powiedział. - Jeszcze raz ci się oświadczam. Przrzekam, że będę wierny. Słowo.

Jego słowo? Owszem... Może być coś warte. James na ogół nie rzucał słów na wiatr. To akurat Matilda dobrze wiedziała.

Westchnęła. Uniosła kieliszek i spojrzała przez resztkę wina na ogień.

- No a co z dziećmi? - zapytała. - Chciałbyś mieć ze mną dzieci?

- Do tego na razie nie dojrzałem - odpowiedział szybko. - Zdaje się, że jeszcze w moim własnym dzieciństwie zostałem zaprogramowany przeciw posiadaniu potomstwa. - Skrzywił się nieco. - Sam zawsze czułem,

że zawadzam moim rodzicom. Ani matka, ani ojciec nie głaskali mnie po główce. Ledwie mnie zauważali. Opiekowały się mną jakieś niańki - a oni oboje mieli swoje pasje, mieli swoje prace i swoje podróże. Od małego chodziłem do szkoły z internatem. - Pokiwał głową. - Tak było.

- Co za los! - wyrwało się Mattie. Pomyślała, że najchętniej podusiłaby tych jego rodziców. No, ale akurat oboje już nie żyli. Zginęli w katastrofie lotniczej, gdy dosyć dawno temu podróżowali własną awionetką przez Alpy włoskie.

- Nie znałam tych szczegółów z twego dzieciństwa - powiedziała łagodnie. - Bardzo ci współczuję.

- Cóż, stare dzieje - machnął ręką. - Próbuję się tylko usprawiedliwić, może w części, z tego, jaki jestem.

Mattie osuszyła do końca swój kieliszek.

- A więc... - zastanowiła się - miałabym się zająć organizacją twego domu. Dzieci nie będzie. Miłości też nie. - Zajrzała mu w oczy. - Stąd wynika, że jeśli wyjdę za ciebie, przypadnie mi w udziale głównie proza życia i kłopoty.

Zaśmiał się i odchylił w krześle.

- Przesadzasz, Matts. Pomyśl o mojej pozycji, w której zyskasz udział. Zamieszkas w pięknym domu. Gwarantuję ci przyjaźń, szacunek i opiekę. Twoja własna osobowość nie ucierpi; będziesz miała mnóstwo czasu na to, żeby się nadal zajmować książkami...

Milczała.

On przysunął się do stołu.

- Prawie słyszę, jak się obracają kółka w twojej głowie - powiedział. - Ale właściwie, co ty tracisz, Matts, nawet jeśli mało zyskasz, jak sądzisz? Masz już dwadzieścia pięć lat, a zdaje się, że nie byłaś dotąd z nikim w związku. A więc stracisz tylko swoją samotność. Nie zamykam ci też drogi do miłości; ostatecznie istnieją rozwody... - Zaplótł ramiona. - A jest coś jeszcze - dodał - o czym może nie wiesz. - W Wigilię twój ojciec powiedział mi, że chce sprzedać wasz dom i przenieść się do Londynu.

- Co takiego?! - poderwała się Mattie.

- No widzisz, zgadłem: nic ci nie powiedział. - James nachylił się nad stołem. - Edward zamierza przejść na emeryturę... Wasz status w związku z tym oczywiście się obniży. Więc pomyśl o mojej ofercie jeszcze i w tym kontekście.

Kręciła głową, oniemiała. Poczowała się nagle zdradzona przez jedyne go człowieka, z którym była blisko związana, przez ojca. Nigdy jej nie kochała matka, trudno, bo nie była śliczną laleczką ani w ogóle miłutkim dzieckiem, a mama była estetką i cierpiała na migreny. Wierzyła jednak, że przynajmniej tata ją lubi i szanuje - na przykład za inteligencję. Starła się być zawsze najlepszą uczennicą i studentką: dla niego. A teraz prosi: ojciec bez jej udziału podejmuje taką ważną decyzję, sprzedaje dom. Całkiem zmienia ich życie, jej życie.

Westchnęła. Co za dzień, ile zaskoczeń, niewiarygodnych zwrotów losu.

Poczuła, że musi stąd wyjść, brakowało jej powietrza. Zaczęła się podnosić. Uprzytomniła sobie zarazem, że James czeka na jakieś jej „tak” lub „nie”. Spojrzała na niego.

- No więc tak, wyjdę za ciebie, James - powiedziała szybko i jakby od niechcenia. - Zawiadom mnie, gdzie i kiedy ślub, a na pewno się stawię... Licz na mnie - uśmiechnęła się ironicznie.

RRS

ROZDZIAŁ TRZECI

Mattie wetknęła ręce w kieszenie swego jedwabnego, bursztynowego w kolorze, ocieplanego żakietu. Od Armaniego, a jakże. Drżała bardziej z emocji, niż od chłodu styczniowego zmierzchu.

Co powie jej ojciec na to, jak jest wystrojona?

Spojrzała zniecierpliwiona na monitor peronowego rozkładu jazdy. Jego pociąg się spóźniał. Po tygodniu w Londynie, gdzie załatwiał interesy, zadzwonił i poprosił, żeby go odebrała z dworca, w zastępstwie wciąż nieobecnej pani Flax.

Jazda samochodem tu, do Lewes, była dla niej koszmarem. Nie cierpiała prowadzić po zachodzie słońca; reflektory mijanych aut oślepiały ją. A gdy sama zmieniała światła na krótkie, myliła się i włączała niepotrzebny kierunkowskaz albo wycieraczki.

Podenerwowana była także swym wyglądem. Co powie na te liczne zmiany ojciec? (A co powie, gdy ją zobaczy James?).

Wszystkiemu winna jest tak czy owak Dawn.

Dawn przyjechała do Berrington House w połowie

tygodnia i oznajmiła, że bierze specjalnie parę dni wolnego, aby pomóc Mattie w przygotowaniach do ślubu.

- Wiem, że beze mnie nie dasz sobie rady - zaczęła już w progę. - Ty przecież o siebie nie zadbasz; gotowaś pójść do ołtarza w dzinsach i sweterku... A gdzież to ojciec? - zainteresowała się, nie widząc nigdzie starszego pana Edwarda.

- Pojechał na tydzień do miasta.

- Ano to świetnie, to lepiej. Nie będzie nam przeszkadzał.

Jeszcze tego samego popołudnia wybrały się obie na zakupy.

Spędziły w sumie trzy dni na obrzeżach Londynu, w centrum, jeżdżąc do supermarketów, domów mody, salonów piękności, stylistów, nawet dentystów. Mattie czuła się coraz bardziej nieswojo.

- Co ty chcesz ze mnie zrobić, Dawn? - oponowała. - Szara myszka nigdy nie zmieni się w rajskiego ptaka.

Przyjaciółka śmiała się.

- Musisz dobrze rozegrać swoją kartę, Mattie. Już ci to kiedyś mówiłam.

- Ale James może tego wcale nie chcieć - martwiła się Matilda. - On sobie mnie kojarzy ze zwyczajnością, z domowością, z książkami, nie z pokazami mody.

- Zaufaj mi, złotko - kiwała głową Dawn. - Mężczyźni doskonale znoszą przemiany Kopciuszka w królową. To stara bajka.

Mattie wróciła do Berrington House z bagażnikiem

pełnym zakupów, z sercem pełnym obaw, no i z debetem na koncie, niestety. Na sam koniec fryzjerzy pozbawili ją długich włosów. Wymodelowali jej czuprynę „na pazia”, jakoby idealnie dopasowaną do jej typu urody.

Stała teraz na peronie i popatrywała na swe wąskie spodnie z miękkiej, kremowej skóry, wpuszczone w trzewiki na wysokim obcasie. Owszem, wszystko to wyglądało nawet zgrabnie, A jednak Mattie czuła się niepewna i drżała. Z zimna czy z przejęcia? Wcisnęła głębiej ręce w kieszenie kurtki. Pociąg wciąż nie nadjeżdżał.

A gdyby tak James odwołał nagle swe oświadczyzny? Hm, byłby to może niezły finał całej historii... Myśl ta pojawiła się w jej głowie niby przypadkiem, ale zaraz utkwiała w niej, jakby czekało tam na nią gotowe miejsce.

Zastanowiła się też, czy nie za surowo osądza ojca, próbującego bez jej wiedzy sprzedać Berrington House. Wynik zaś osądu jest chyba taki, że małżeństwo z Jamesem nabiera cech pewnego rodzaju ucieczki. Czy nawet zemsty? W sumie nie jest to wszystko mądre.

Zatopiona w rozważaniach prawie nie zauważyła, jak opóźniony pociąg z Londynu zaczął się wtaczać na peron. W kilka chwil potem dojrzała ojca i pomachała mu ręką. Lecz on jej nie poznał i stał, rozglądając się prawdopodobnie za tą Mattie, do której był przyzwyczajony.

Podeszła i ujęła go pod ramię.

- Tato, jestem tutaj... Ależ się wymarzałam - przytuliła się do ojca. - Co się stało, skąd to spóźnienie?

Edward Trent mrugał oczami, zaskoczony.

- Matts, dobry Boże! To ty? - Odstąpił o krok. - Coś ty z siebie zrobiła, córko!

Oho, źle, pomyślała. Co będzie, jeśli James zareaguje podobnie?

- To za namową Dawn... - zaczęła się tłumaczyć.

- Oczywiście! - podchwycił ojciec. - Któż by inny. - Jeszcze raz obrzucił ją spojrzeniem. - No, ale właściwie.. . - zaczął się zastanawiać - ta Dawn ma jednak niezły gust... O, widzę, że i fryzurę zmieniłaś!

Mattie sięgnęła nerwowo ręką do włosów. Ruszyli w stronę parkingu. Kiedy doszli, wręczyła ojcu kluczyki do wozu.

- Ty prowadź, tato - poprosiła. - Wiesz, że ja po ciemku mało co widzę.

Siedząc na fotelu pasażera, powróciła w myślach do koncepcji „zerwanych zaręczyn”, ciągnąc tę myśl. No więc, czy w ostatecznym rachunku nie byłoby to korzystne?... Tylko po co ma czekać na ruch Jamesa? Może taki ruch sama wykonać, wyprzedzić. Tak jest! Jeszcze dzisiaj zadzwoni do niego i powie, że się rozmyśliła, że ślubu nie będzie.

Bo w istocie po co jej to całe upokorzenie, oddawanie się pod kuratelę człowieka, który jej nie kocha i nigdy nie pokocha? Dlaczego nie ma pozostać niezależna? Lepiej będzie nadal mieszkać przy ojcu, w ich nowej siedzibie, zapewne w Londynie, i zarabiać na życie tłumaczeniami albo lekcjami prywatnymi. Zna przecież tyle języków, jest wykształcona.

Co prawda dając kosza Jamesowi, powtórzy niejako gest Fiony. Już z góry zaczęła współczuć swemu niedoszłemu mężowi. No, ale cóż począć...

Dość prędko znaleźli się na podjeździe przed Berrington House. Gdy weszli do domu, Mattie postanowiła wreszcie zapytać ojca, co właściwie robił w Londynie i co będzie z ich dalszym życiem.

- Myślę, tato, że masz mi coś do powiedzenia...
-zawiesiła głos.

Edward spojrział na nią i odstawił lekką skórzaną teczkę, z którą przyjechał, na schody wiodące na piętro.

- Co masz na myśli? - Zaczął rozpinać płaszcz.

- Tato, nie udawaj - powiedziała. Postanowiła, że musi wziąć swój los we własne ręce, być może po raz pierwszy w życiu i bez względu na koszty. Zaraz zadzwoni do Jamesa... Ale najpierw trzeba wyjaśnić do końca ich własną rodzinną sprawę. - Wiem, że masz zamiar sprzedać nasz dom - oparła się o drzwi. - Słyszałam, że mamy wynająć mieszkanie w Londynie, że zabieramy też panią Flax, że chcesz przenieść na mnie jakieś udziały w swych interesach, a sam odchodzisz na emeryturę.

Edward zdjął do końca płaszcz, powiesił go i schylił się po teczkę.

- Powinienem być cię uprzedzić, to prawda -uśmiechnął się przepraszająco. - Rozumiem, że chyba od Jamesa wiesz to wszystko?

Kiwnęła głową.

- Dlaczego działasz za moimi plecami? - oderwała się od drzwi. - Projektujesz gwałtowne zmiany w naszym życiu, a ja o tym nic nie wiem.

- Nie gniewaj się, Matts. - Uniósł dłoń. - Wszystko to aż do ostatnich dni pozostawało właściwie tylko w sferze planów... Ale wiesz co? - spojrzał w stronę kuchni.

- Może byśmy dalej porozmawiali przy kakao? Gorące kakao dobrze nam zrobi przed snem.

Nie miała ochoty na kakao ani na żadne inne nudne rytuały domowe, w sytuacji gdy ważą się jej losy. Poszła jednak do kuchni za ojcem, bo co można było lepszego zrobić.

Gdy on stawiał mleko na gaz, sięgnęła do lodówki i wyjęła z niej butelkę białego wina, które zachowało się jeszcze od świąt. Raczej tego się napije. Skoro już muszą coś pić... Ojciec nie skomentował jej wyboru. Uniósł tylko na chwilę wyżej jedną brew. Potem wskazał głową teczkę, którą położył na stole.

- Tu są dokumenty naszych spraw... Udało mi się już wynająć mieszkanie w Londynie, bardzo ładne, właściwie za obszerne w sytuacji, gdy ty masz odejść z Jamesem. A co do emerytury - zdjął mleko z ognia - wcale nie miałem na nią ochoty. Ale mój kardiolog mnie przestrzega... - urwał, bo Mattie poruszyła się niespokojnie. - Nie, nie ma powodu do większych obaw - podjął lekko. - Mam trochę nadciśnienia i jakieś szmery w lewej komorze. Niemniej muszę zwolnić tempo życiowe. Potrzebuję wypoczynku i spacerów - tak mówi lekarz. I „mniej

zmartwień", „mniej zmartwień”!

- Tato - upiła łyk wina. - Właściwie ja... - Chciała powiedzieć, że zrywa z Jamesem, ale ugryzła się w język. Może nie sprzedajmy faktów. Najpierw trzeba by zadzwonić.

Ojciec zrobił sobie kakao i zasiadł za stołem.

- Wcale nie chcę mieć przed tobą sekretów - powiedział. - Nie wtajemniczam cię w niektóre swoje plany tylko dlatego, że chronię cię przed prozą życia, do której, jak o tym oboje dobrze wiemy, nie masz talentu ani upodobania.

Mattie westchnęła. No tak, wciąż to samo. Wszyscy ją mają za skrzyżowanie pięknoducha z niezgułą - ale to się musi zmienić. Ona sama to zmieni, siebie zmieni, teraz to postanawia, zmieni się jak najprędzej!

- No a to mieszkanie, które wynająłeś... - dołała sobie wina. - Jakie ono jest, i gdzie?

- Dwie sypialnie, salonik, pokój gościnny, kuchnia - zaczął wyliczać Edward Trent. - Dwie łazienki, garderoba... I wszystko to, wyobraź sobie, dziesięć minut spacerkiem od domu Jamesa na Belgravii. Tak że będziemy się mogli często odwiedzać, gdy wyjdiesz za mąż... A propos, widziałaś się teraz z nim w Londynie?

- Nie - pokręciła głową.

O ile wiedziała, James w ogóle nie miał pojęcia, że przez kilka dni nie było jej w Berrington. Chociaż -mógł dzwonić... Powinna odsłuchać automatyczną sekre-

tarke, zanim się z nim skontaktuje. Jedyna rozmowa, jaką mieli od czasu, gdy jej się oświadczył, dotyczyła daty ślubu i pewnych praktycznych szczegółów. Zgodzili się wówczas, że ceremonia będzie tylko cywilna, skromna, bez wesela i bez miesiąca miodowego. Wydawało się to słuszne w sytuacji, gdy zawierają jedynie pewien kontrakt, małżeństwo z rozsądku. Bez miłości - o czym Mat-tie myślała cały czas ze ściśniętym sercem. To znaczy myślała tak aż do dzisiejszego wieczoru. Bo dzisiaj, zaraz...

Ojciec kończył pić kakao. Odstawił właśnie kubek i zaplótł ręce na piersi.

- Nie będę udawał - powiedział - że się bardzo ucieszyłem, kiedy tak nagle postanowiłaś wyjść za mąż. Myśle, że każdy ojciec dba o szczęście swego dziecka i chciałby móc w pełni ufać przyszłemu zięciowi. James jest świetnym partnerem w interesach, ale jego życie prywatne... . Ostatnio ta okropna kobieta... - pokręcił głową.
- Ale może wyjaśniliście już sobie jakieś sprawy? Coś tam przedyskutowaliście? Czy ty naprawdę jesteś pewna, że będziesz z nim szczęśliwa?

Prawdziwa odpowiedź na to pytanie musiałaby być w tej chwili zbyt wielotorowa, uznała Mattie. Dlatego postanowiła się czymś wykręcić, byle jakim stwierdzeniem.

- Szczęśliwa? - wzruszyła ramionami. - Pożyjemy, zobaczymy...

Ojciec zaczął się podnosić. Najwyraźniej nie zamierzał drażnić tej sprawy.

- Już prawie dziesiąta - spojrzął na zegarek. - Pora spać. W każdym razie na mnie pora. Dobranoc, Mattie, ja idę się położyć.

- Dobranoc, tato - odparła i zabrała się do sprzątnięcia ze stołu. Odwlekała chwilę, kiedy trzeba będzie pójść do pokoju, podnieść słuchawkę aparatu i przez ściśnięte bez wątpienia gardło wypowiedzieć słowa, które miałyby ją uczynić wolną. Miałyby jej przywrócić naruszone poczucie godności.

Przecinała właśnie hol, kierując się ku schodom prowadzącym na piętro, gdy usłyszała dzwonek do drzwi wejściowych. Wzdrygnęła się, bo któż to mógł być, o tak późnej porze? Podeszła i dyskretnie zerknęła przez wizjer. O, do licha! Po tamtej stronie, na oświetlonym latarnią podeście, stał James.

Zaczęło jej walić serce. Chwilę zwlekała, aż wreszcie zdecydowała się obrócić zasuwę.

- A więc jednak jesteś - James ucieszył się na jej widok. - A ja już się o ciebie martwiłem, Mattie. Naprawdę się martwiłem. Przez parę dni nie odpowiadałaś na moje telefony.

Patrzyła na niego w napięciu. Stał w świetle, mając za sobą noc i wydawał się tajemniczy, z pogranicza światów, trochę groźny, choć niby przyjazny w słowach. I taki piękny... Jak ona temu mężczyźnie powie, że go nie chce? Czy się odważy?

Muszę się odważyć, powtarzała sobie w myślach, muszę.

On odczuł chyba jej napięcie i zaczął jej się uważnie przyglądać. A gdy dokładnie obejrzał jej postać, dotarło do niego, że nie jest to ta sama Mattie, którą dotąd znał! O krok od niego stała kobieta ładnie ostrzyżona, lekko umalowana, w stroju, który uwydatniał jej okrągłizny, piersi i biodra, zazwyczaj skrywane pod jakimiś luźnymi i burymi szmatkami.

W oczach Jamesa zabłysł podziw i Mattie natychmiast to odczytała. I już po chwili wiedziała, że nie jest sfałszowana, śmieszna czy przebrana, jak sądziła, ale może po raz pierwszy w życiu ubrana właśnie, prawdziwa i że miałaby się też chęć, również pierwszy raz w życiu, rozebrać przed kimś. Nie przed kimś, ale dokładnie przed tym tutaj mężczyzną.

Oczywiście nie było już mowy o tym, żeby dawać Jamesowi kosza, co za pomysł...

On postąpił naprzód, pozwalając, aby drzwi się za nim same zamknęły. Musiała zrobić krok w tył, choć właściwie nie miała na to ochoty. Niechby jej dotknął, naparł na nią.

- A więc co się z tobą działo.. - zaczął mówić James.
- Czemu nie podnosiłaś słuchawki?

Pytał i zgadywał, że działo się w tych dniach coś chyba istotnego, tak istotnego, że wskutek tego jego szara Myszka poważnie przekształciła swą osobowość.

Zaskakując samą siebie, Mattie uśmiechnęła się załotnie i tajemniczo. Umiała to zrobić! No, no...

- Wyjeżdżałam trochę... - zawiesiła głos.

- Jak to wyjeżdżałaś, gdzie!

W tonacji jego pytania dała się słyszeć wyraźna pretensja. Pretensja kogoś zazdrosnego. Mattie była coraz bardziej zachwycona.

- Dziś na przykład jeździłam do Lewes, na stację po ojca - odrzekła z niewinną minką. - A wczoraj i przedwczoraj byliśmy z Dawn w Londynie.

- W Londynie! I nie odezwałaś się do mnie! - szukał wytłumaczenia w jej oczach. Potem zawisł spojrzeniem na ustach, przez które miała przyjść odpowiedź... Co za piękne wargi, pomyślał, stworzone do całowania. Dlaczego wcześniej tego nie dostrzegałem?

- Nie stójmy tak w progu - odezwała się Mattie. - Chodźmy, zrobię ci jakąś herbatę. A może jesteś głodny? Może jakiś kieliszeczek na rozgrzewkę?

Zasiadając za kuchennym stołem pomyślał, że chyba źle zaplanował ich ślub, a może nawet całe swoje życie z tą kobietą. Prozaiczny kontrakt, małżeństwo z rozsądku?... Nie, on po prostu nie znał dotąd swojej Myszki, nie przeczuwał, jaki potencjał w niej drzemie. Odsunął whisky, którą przed nim postawiła. Patrzył, jak na patelni powstaje omlet dla niego.

Ale zaraz... Nie dajmy się zwieść pozorom, spróbował być krytyczny. Zmieniła fryzurę, strój - nawet minę. No to co? Współdziałała tutaj z tą sprytną Dawn i wcale tego nie kryje... Lecz po ślubie - po ślubie wszystko może wrócić w stare koleiny. Dorosły człowiek nie zmienia aż tak łatwo swego charakteru ani upodobań. Odzyskam

swoją Myszke, pomyślał półironicznie. Dziewczyna wdzieje dawne bure szatki i zagrzebie się w swych papierach.

Odzyskam Myszke, poruszył bezgłośnie wargami.

Odwrócona Mattie nie zgadłaby, co on tam knuł za jej plecami.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

- To, jak ma wyglądać nasze małżeństwo, jest wyłącznie naszą sprawą. - James hamował wzburzenie.

- Ja też tak uważam - uśmiechnęła się słodko Mattie, unosząc srebrną pokrywę znad półmiska, który tu wjechał na stoliku z kółkami. - Ale wczuj się w tę biedną panią Briggs. To osoba starej daty. Kazalesz dla nas przygotować dwie osobne sypialnie, co wydało jej się wystarczająco dziwne. Na dodatek zaraz po ślubie wróciłeś po prostu do biura. I co ja jej miałam powiedzieć? Spróbuj zrozumieć jej reakcje... Ona chce ci trochę matkować... - zastanowiła się. - Prawda?

James odchrząknął. Cóż, Mattie ma niby rację. A jak ładnie dziś wygląda! Znowu ładnie... Popatrzył na jej mówiące usta... Tak, to są usta do całowania. Włożył palec za kołnierzyk, zbyt mocno obwiązany krawatem. Było mu tutaj zdecydowanie za ciepło. Do licha, a może ma gorączkę! Albo też trapią go ognie miłosne...

- Powiedziałam jej - ciągnęła Mattie - że to całkiem wyjątkowa sytuacja... Że masz w tych dniach serię bardzo ważnych spotkań, dlatego tyle siedzisz w biurze. -Zrobiła chytrą minę. - Ale że przynajmniej dzisiaj zjemy

kolację we dwoje i - tu pogładziła na sobie czarny szyfon -przebrałam się nawet na jej oczach w to coś. Aby nie miała wątpliwości, że jesteśmy parą całkiem normalnych nowożeńców. Lepiej, żeby twoja gosposia nie miała powodu do szerzenia plotek.

Racja, oczywiście. Lepiej, żeby nie było plotek...

Ale właściwie co ona ma na sobie? To coś wygląda jak niedwuznaczne zaproszenie do łóżka!

Mattie wstała i obróciła wózek z kolacją tak, aby móc zyskać dostęp do talerzy i sztućców.

Jak ona ładnie się porusza, pomyślał James. Dlaczego wcześniej tego wszystkiego nie dostrzegał? Czy aż tak krępowały ją te niezgrabne stroje, że i sama była niezgrabna? Niemożliwe, żeby aż tyle zależało od tego, co się nosi.

Spróbował złowić jej spojrzenie... Co za niezwykle tęczy, w kolorze złotych irysów...

Lecz w oczach Mattie widzi przecież tę samą co zawsze prostotę, prawie niewinność? Jak gdyby jej dusza wcale nie brała udziału w owej zewnętrznej maskaradzie, wymyślonej dla niej przez przebiegłą Dawn.

- W takim razie jedźmy - powiedział, gay na koniec wszystkich przygotowań zapłonęły dwie świece.

- Jeszcze momencik - odnalazła pośród sztućców korkociąg. Zaczęła się mocować z butelką czerwonego wina. - Może tobie się uda - poprosiła po chwili, wręczając butelkę mężowi. - Ja mam do takich rzeczy zawsze dwie lewe ręce.

Uśmiechnął się. No właśnie, przecież Mattie to Mattie. Niby są w niej te frapujące nowe cechy, ale i dawne są... Cała niepraktyczność, „dwie lewe ręce” do różnych rzeczy...

Nie ma cudów, jego Myszka nie przeistoczyła się przecież nagle w jakiegoś wampa czy rusałkę.

- Oczywiście - odrzekł - oczywiście. - Wyciągnął rękę i... oj, błąd. Duży błąd. Chwytnąjąc butelkę, zawadził palcami o pierś. I poczuł, jaka ta pierś Mattie jest sprężysta i foremna. Przebiegł go dreszcz, od stóp do głów.

Do licha, jednak to już nie jest dawna Myszka... I wobec tego dwie osobne sypialnie, małżeństwo z rozsądku i tak dalej - też chyba stoją pod znakiem zapytania?

Drżącą nieco ręką wyciągał korek, zezując cały czas ku półnagiej Mattie. Ona zaś spokojnie nakładała na talerze coś, co wyglądało na cząstki bażanta z rusztu, i dodawała do tego połówki uprażonych na krucho kartofli.

- Coś zielonego? - zapytała i małą dłonią o smukłych palcach uniosła pokrywkę żaroodpornego naczynia z brokułami. W kątku jej ust błąkał się uśmiezek.

Kiwnął głową, nalewając wina. Dlaczego nigdy dotąd nie zauważył czarujących dołeczków w jej policzkach? Dużo jest tych różnych „dlaczego nigdy dotąd”, oj dużo, pomyślał.

- Pani Briggs jest niezłą kucharką - zaćwierkała Mattie, siadając. - Ale, jak sam wspominałeś, nie daje sobie rady z większymi przyjęciami. Ja raczej też nie mam do takich rzeczy talentu. Rozwiązaniem byłoby wejście

w kontakt z którąś agencją cateringu. Chciałabym być dla ciebie użyteczna, ale... Co ty na to, James?

- Słucham? - Nie uchwycił w pierwszej chwili treści pytania, bo cały był nastawiony na patrzenie. Patrzył, jak w miękkim blasku świec ładnie jeszcze to, co i tak jest ładne w Mattie. - Przepraszam - zamruczał. - Oczywiście zrobisz, jak zechcesz. Na pewno dacie tu sobie radę. - Dziobnął kartofla. - A... czy wybrałaś już dla siebie w tym domu jakiś pokój do pracy?

Uchwycił się tej nagłej myśli o pokoju. Bo kiedy jego żona zagrzebie się w swych papierach i pieleszach, wszystko wróci może do normalności, w zgodzie z pierwotnym planem.

Jasny kostium ślubny, w którym wczoraj tak dumnie paradowała, i tym podobne stroje powędrują do szafy. Nastanie znów pora starych, wygodnych spódnic, szarych, porozciąganych swetrów i poprzecieranych dżinsów.

A wtedy skończą się także te seanse kuszenia. I nic go już nie będzie wzywało do odkrywania Mattie, jakiej nie zna, do tej męczącej pracy podboju i flirtu, którą wykonywał w życiu wystarczającą ilość razy.

- Nie... - odrzekła. - I nie spieszę się z tym. Pokój poczeka. Żadnych nowych prac od wydawców na razie nie brałam. W tych dniach - uśmiechnęła się miło - wolałabym się zająć raczej twoimi sprawami, James. Chciałabym być, na ile się da, dobrą żoną.

Dobłą żoną! Czy ona sobie zdaje sprawę z tego, co

właściwie powiedziała? Poczuł kolejne uderzenie gorąca. Owszem, przydałaby mu się dobra żona. Wychylił duszkiem swój kieliszek.

Mattie uszczknęła kawałek bażanta.

- Chciałeś mieć hostesę, więc będziesz miał - kiwnęła głową. - Zajmę się twoim terminarzem, aranżacją spotkań, częścią telefonów, kalendarzem podróży... Cieszysz się? - Sięgnęła po swój kieliszek. - Nigdy dotąd takich rzeczy nie robiłam, ale się nauczę. Poza tym sądzę, że powinnam się z tobą pokazywać publicznie... W dzisiejszym świecie nie tylko politycy, również ludzie interesu występują często z żonami, prawda? Chciałabym z tobą spędzać dużo czasu.

- Brawo, brawo - trącił się z nią szkłem. Sam do końca nie wiedział, co miałyby to „brawo” wyrażać, aprobatę czy jednak jakąś ironię?

Przez chwilę jedli w milczeniu. Gdy uporali się z bażantem, Mattie sięgnęła po paterę z puddingiem.

- Nałożyć ci? - zapytała.

- Nie, chyba nie - pokręcił głową. - Puddingu już bym nie zmieścił. Dziękuję.

A więc miałby z nią spędzać dużo czasu? I co, i być w tym czasie... kuszony? Przez własną żonę... Z którą umówił się w życiu na coś całkiem innego?

Sytuacja robi się właściwie farsowa, pomyślał. Pora sobie może coś na nowo wyjaśnić.

- Matts - powiedział. - Pogadajmy jak starzy przy-

jaciele. Oboje wiemy, czego chcemy od tego małżeństwa. Prawda? - Odchrząknął. - Chcemy domowej wygody, twojej niezależności od planów ojca, ja liczę na jakieś wsparcie logistyczne, tak to nazwijmy, z twojej strony; masz też u mnie zapewnione swobody twórcze... -Uśmiechnął się. - No i jeszcze chciałbym, żebym wskutek ożenku przestał być obiektem zainteresowania tych tłumów panienek, które mi dotąd nie dawały żyć.

Mattie, milcząc, zlizywała z łyżeczki pudding. Ostatnie słowa męża, nawet jeśli nawiązywały do czegoś prawdziwego, zabrzmiały jak przechwałka.

- W każdym razie nie umawialiśmy się na seks, prawda? - James obrzucił spojrzeniem wyzywający strój żony. - Ja się tym czymś czuję przekarmiony, a ty... Ty mi nieraz mówiłaś, że ta strona życia cię nie interesuje. Bądźmy więc jak brat i siostra: co ty na to?

Mattie odsunęła talerzyk z deserem. Obróciła się nieco i założyła nogę na nogę.

Piękne nogi, do diabła, bardzo piękne, skonstatował James. Poczul, że musi natychmiast rozluźnić krawat. I oczywiście to bujda, że jest seksualnie przekarmiony. W tej na przykład chwili ma właśnie ochotę się kochać. Z tą niby to aseksualną kobietą, jak ją sobie przedtem wyobrażał. Z własną żoną!

- Nie jestem jednak z żelaza - westchnął. - To, jak teraz wyglądasz, stanowi dla mnie wyzwanie, którego chyba oboje nie chcemy? - Zaczął się wiercić na krześle. Czul, że mówi za wiele, a jednocześnie za mało, że jego dążenia

i motywacje są wewnętrznie sprzeczne, że... Że właściwie musi zaraz pójść wziąć zimny prysznic. Bo atmosfera tej kolacyjki zrobiła się już zbyt niebezpieczna. - Czuję, że powinienem ci już powiedzieć dobranoc - zamruczał i zaczął się podnosić. - I bardzo dziękuję za bażanta.

Ruszył do drzwi. Była to rejterada. I James wiedział, że jest to jego klęska.

Trudno.

Nie zawsze odnosi się zwycięstwa.

Mattie zdjęła swoje czarne wyzywające wdzianko, co do którego Dawn tak się upierała, że będzie idealne w pierwszych rozgrywkach z mężem.

James ma rację, przynajmniej częściowo. Na co innego umawiali się w małżeństwie. Nie powinna była urządzać całej tej demonstracji. Czowała, że jest jej wstyd.

Lecz jak to mówiła Dawn? „Co masz do stracenia? Nic. Odrzuć więc skrupuły. Zobaczysz, że zabłyśniesz, tylko przestań już odgrywać w życiu Kopciuszka. A kiedy do twego męża dotrze, z kim się naprawdę ożenił, happy end macie gwarantowany”.

Mattie westchnęła. „Nic do stracenia"... A jednak Dawn się myli: jest coś do stracenia. Tym czymś może się okazać na przykład przyjaźń i szacunek Jamesa. I cóż z tego, że skusiłaby go nawet do pójścia z nią do łóżka, jeśli tak naprawdę chodzi jej przecież o to, żeby się w niej zakochał. A to jest coś całkiem innego.

Weszła pod prysznic i starała się odprężyć pod stru-

mieniem gorącej wody. Niewiele to jednak dało i już wiedziała, że czeka ją niespokojna noc. Zakręciła kurki, wytarła się, po czym wskoczyła w starą, znoszoną piżamę. Pomyślała, że nie tknie więcej owych frywolnych fatalaszków, których nakupiły tyle z Dawn. Wyszła z łazienki i po niedługiej chwili naciągała na siebie kołdrę w swym osobnym łóżku żony, traktowanej jak siostra.

Kiedy się obudziła następnego poranka, Jamesa nie było w domu. W kuchni na stole zastała kartkę: „Matts, każ spakować rzeczy, których nie będziesz potrzebowała w najbliższym czasie. Poślę kogoś, żeby przetransportował to na Belgravia. Do zobaczenia”.

Nie pofatygował się nawet, żeby jej powiedzieć „dzień dobry"! Oto jak działa w praktyce ten ich siostrzany czy braterski związek. Zdawkowość i letniość... Trzeba by jakiegoś cudu, żeby James się w niej zakochał. Ale on się chyba w nikim w ogóle nie potrafi zakochać, również w tych wszystkich ślicznotkach, takich jak Fiona Campbell-Blair.

Mattie pomyślała o wieczorze w Berrington, kiedy to w oczach swego ukochanego dostrzegła rodzaj uznania, czy nawet przejściowego uwielbienia, co doprowadziło do przekreślenia zamiaru podziękowania mu za propozycję małżeńską. Lecz nie było to przecież żadne uwielbienie (wzruszyła w myślach ramionami), najwyżej zaciekawienie wywołane przebraniem, w którym wtedy wystąpiła. Jakie uwielbienie! Nonsens.

Wróciła z karteczką męża do sypialni i rzuciła się na łóżko. Łzy popłynęły z jej oczu. Były to łzy żalu, ale i złości, że się tak dała podejść losowi. Wymierzyła kilka ciosów puchowej poduszce. Potem obróciła się na wznak i naciągnęła kołdrę pod brodę. Może uda się zasnąć? W końcu wczoraj, po kolacji z Jamesem, nie zmrużyła oka co najmniej do północy. Ach, gdyby tak w ogóle można przespać wszystko, co w życiu niewygodne, groźne i bolesne! Poczwała, że ciąży jej powieki. Po chwili cichutko pochrapywała.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Mattie obudziła się dobrze po dziesiątej. Z ociąganiem wstała, włożyła swój stary, ocieplany szlafrok i powędrowała, z zapuchniętymi oczami, do kuchni, aby wypić spóźnioną kawę.

- A, witam, witam! - uśmiech pani Briggs wydawał się aprobujący. - Kawa? A może zanieść obojgu państwu od razu śniadanie? Małżonek jest u siebie w gabinecie - poinformowała gosposia.

Serce Mattie podskoczyło na te słowa. A więc James nie pojechał do biura, jak sądziła. Jest u siebie... A pani Briggs myśli, że ona i on spędzili ze sobą regularną noc miłosną. No i dobrze, niech tak myśli...

Ale co ja sama myślę o tym wszystkim? zastanowiła się Mattie. Otóż czuła, że jest jej głównie wstyd. Przez ostatnie dni nie była sobą. Była wymalowaną, uperfumowaną, niemądrą lalką, grającą w przedstawieniu wyreżyserowanym przez Dawn i napędzaną też przez jakąś własną skłonność do upadku.

W tej chwili czuła jednak, że normalnieje. Zaraz napije się kawy i będzie dawną Matildą, kobietą z charakterem, kręgosłupem i mózgiem. A to, że znalazła się w sytuacji

teoretycznej żony człowieka, którego zawsze kochała, ale bez wzajemności, da się chyba jakoś znieść. Oczywiście, że się da - zwłaszcza że nie widać żadnej sensownej alternatywy.

W dziesięć minut potem, przekraczając próg gabinetu Jamesa, nie była jednak zanadto pewna swoich racji. Ujrzała męża w całej jego chwale, jak pomyślała. Był w ciemnym, szytym na miarę garniturze. Wydawał się piękny i władczy. Instynktownie schowała kciuki w dłoniach... Jakże niechlujnie w porównaniu z nim wygląda. W tym starym szlafroku...

On właśnie kończył jakiś telefon. Zaraz wstał i górując nad nią całą swą posturą, uśmiechnął się.

- Dzień dobry, Matts.

Chłodnawy był ten uśmiech i jakby z lekceważeniem w tle. Być może James miał jej za złe długie wylegiwanie się rano?

- Niestety, będę dziś musiał znowu pojechać do biura - uzupełnił. - Ale zdobyłem dla nas na wieczór dwa bilety do teatru Haymarket. I potem wybierzemy się na jakąś kolację, chcesz?

Zanim zdążyła mu odpowiedzieć, zapukano do drzwi.

- Gdzie mam podać państwu śniadanie? - rozległ się głos gospoisi.

- Może najlepiej w jadalni? - zastanowił się James.

- Czekalesz ze śniadaniem na mnie? - zapytała Mattie.

- Sam wstałeś przecież, zdaje się, o świcie.

- Naturalnie, że czekałem. A cóż by pani Briggs powiedziała, gdybym nie poczekał?

Zadrzała. A więc on potraktował poważnie jej wczorajsze argumenty i postanowił podjąć grę pozorów. Stąd też pewnie i te bilety do teatru. Swoją drogą ciekawe, jak udało mu się je tak nagle zdobyć? W The Haymarket wszystko bywa przecież wyprzedane na całe tygodnie naprzód.

Znów zapukano do drzwi, tym razem od strony jadalni, która przylegała do gabinetu. Ukazała się pani Briggs, w fartuszku i czepeczku.

- Śniadanie na stole - obwieściła. - Bekon, pomidory, grzybki, soki, tosty i kawa - wyrecytowała. - A czy lunch zjedzą dziś państwo w domu?

James pokręcił głową.

- Ja niestety jestem w pracy - powiedział, starając się najwyraźniej, aby w jego słowach zabrzmiał żal. - A ty, kochanie, jakie masz plany? - zwrócił się do żony.

„Kochanie”, no tak, to ta gra pozorów. Mattie wzdrygnęła się. Ale James posuwa się jednak za daleko, po co nazywa ją aż „kochaniem”?

- Ja też dziękuję za lunch - spróbowała się uśmiechnąć do pani Briggs. - Będę w mieście na zakupach i zjem coś w city.

W istocie postanowiła sobie coś kupić, a tym czymś miały być ubrania inne niż te „odziedziczone” po Dawn. Musi przecież zacząć wyglądać normalnie. Przy tym powrót do najdawniejszych ciuchów byłby utrudniony, a to

z tej przyczyny, że ulegając sugestii przyjaciółki, większość popakowała w wory, które powystawiała w Berrington obok pojemników na śmieci.

- No i nie będzie nas także na kolacji - odezwał się James. - Zabieram żonę do teatru, a potem zjemy coś w mieście. Tak że, droga gospośiu - uśmiechnął się do pani Briggs - jest pani dziś wolna, właściwie od zaraz.

- Zatem życzę państwu miłego dnia - dygnęła gospodyni. Jeszcze raz dygnęła, po czym odwróciła się i zniknęła za drzwiami.

Państwo Carterowie usiedli do stołu.

- Matts - James zaczął rozwijać lnianą serwetkę. -Chciałbym nawiązać do tego, o czym mówiliśmy wczoraj wieczorem...

Przerwała nalewanie kawy.

- Tak?

- No więc nie miałem racji co do tych wszystkich zmian w twoich strojach, tak dziś uważam.

Była to ostatnia rzecz, którą spodziewałaby się od męża usłyszeć. Na jej policzki zaczął wpełzać rumieniec.

- A co będziesz jutro uważał...? - Zmarszczyła czoło.

- Mogę tylko tyle powiedzieć - sięgnął po tosta - że tak naprawdę zaczęła mi się podobać przemiana, którą wymyśliłyście dla ciebie z Dawn. - Przełamał tosta i posmarował połówkę kromki masłem. Nagle szeroko się uśmiechnął. - Jeśli moja Myszka chce być rajskim ptakiem, dlaczego nie miałyby spróbować?

Mattie milczała, oszołomiona. „Rajski ptak"! Co za słowa! Wielką przemianę przechodzi zdaje się i sam James, nie tylko ona.

- Ale ja właściwie... - zaczęła. - Właściwie nie lubię tej swojej maskarady. Nie wiem, dlaczego posłuchałam Dawn. Najpierw się opierałam. - Uniosła kubek z kawą obiema rękami i pochyliła głowę, jakby zamierzała się za nim schować. - Mówię szczerze. Choć potem zasmakowałam trochę w tej grze. Jeśli już miałam zostać twoją żoną, zachciało mi się być prawdziwą kobietą. Czy możesz to zrozumieć?

- Mogę - odpowiedział szybko. W jego głosie nie było żadnej ironii. Sama życzliwość.

Mattie nabrała otuchy. A więc James to jednak jej przyjaciel. Ten sam od lat. Można z nim rozmawiać o wszystkim, bez udawania.

Postawiła kubek.

- Kiedy byłam małym, chudym i do tego ryżym stworzeniem - zaczęła wspominać - słyszałam ciągle skargi matki na mnie. Co robić, rozpaczała mama, że urodziła mnie właśnie taką, a nie inną, nie śliczną i słodką. Ale potem przyszedł na świat nasz Liam. On był rzeczywiście aniołkiem, niebieskookim blondaskiem. Z dołkami w policzkach i uśmiechem zjednującym serca.

James słuchał uważnie, a Mattie ciągnęła dalej.

- Mama całą swoją miłość przeniosła na braciszka. Liam dostał jednak zapalenia opon mózgowych i umarł. Nie mówiłam ci nigdy?... No i matka omal nie oszalała!

Odtąd przestaliśmy dla niej istnieć, ja i ojciec. W końcu odeszła od nas, wyprowadziła się... Tak było - westchnęła. - Wyrastałam pełna kompleksów - spojrzała na Jamesa. - Przede wszystkim uznałam się raz na zawsze za brzydką i nawet pogodziłam się z tym... Chociaż nie wiem, czy się tak całkiem pogodziłam? - Spróbowała się uśmiechnąć.

- Ależ ty nigdy nie byłaś brzydka! - zawołał z zapalem James. - Tylko jakby... - zaczął myśleć na głos - zamaskowana? Mimikra: istnieje przecież w naturze coś takiego jak mimikra.

Mattie poczuła nagły przypływ apetytu. Sięgnęła po tosta i zaczęła sobie komponować kanapkę.

- Mimikra, pięknie to wymyśliłeś - zgodziła się. - Tak, chciałam być szara, niepozorna. Skoro mnie tak widziano - chciałam taka być.

On kiwnął głową i pomyślał, jak okrutni bywają rodzice, i nie tylko wtedy, gdy znęcają się nad dziećmi fizycznie. Również wtedy, gdy dręczą je psychicznie, podkopują ich wiarę w siebie, zaufanie do własnych możliwości... Szkoda, że nie ma w tej chwili czasu, aby o tym więcej pogadać.

Zaczął się podnosić.

- Niestety, muszę już jechać do biura - powiedział.

- Obszedł stół dookoła, pochylił się i pocałował żonę w policzek. - Pamiętaj, zabieram cię z domu o siódmej. A teraz pa, pa, Matts, kończ swoje śniadanie, smacznego.

Przez dobre trzy minuty siedziała nieruchomo, doty-

kając palcami miejsca, które musnął wargami. Nigdy dotąd jej nie pocałował, nawet tak jak teraz, przelotnie. Coś się naprawdę w Jamesie zmienia, pomyślała. Może to początek uczucia?

Dopijając kawę, nie miała już pewności, po co ma właściwie jechać do miasta? James pragnie jej kobiecości, gotów jest w niej uznać nawet „rajskiego ptaka”, miała przesada. Czy nie szkoda pieniędzy na kolejną przebierankę? Ale jednak w tym, co wyreżyserowała dla niej Dawn, jest coś nazbyt skrajnego. Nie chodzi przecież o to, żeby uwodzić męża, ale by go nakłonić do miłości. A to coś całkiem innego, powtórzyła sobie znaną już regułkę Matilda. To jest coś całkiem innego.

Przebierając w stosie szminek, znalazła wreszcie coś odpowiedniego dla siebie. Włożyła okulary w cienkich, metalowych oprawkach i odczytała etykietkę: „Cień różu”. Ładnie się ta kredka nazywa, pomyślała, prawie poetycko.

Zdążyły ją już trochę zabołec nogi po całodziennej dreptaninie. Na szczęście na samym początku udało jej się kupić wygodne buty firmy Ecco, którymi zastąpiła nieszczęsne trzewiki na wysokim obcasie, wmuszone w nią wcześniej przez Dawn.

Właściwie nie cierpiała się włóczyć po sklepach. Owszem, księgarnie to co innego. Powieści, poezja albo muzyka i albumy: to są zakupy dla myślących ludzi. Mattie bardziej cieszyła się dziś z nabytego Brahmsa, *Sekstetu B-dur* opus 18, z niezwykle melodyjnym An-

dante, niż z paru sztuk garderoby, które też musiała sobie niestety sprawić.

Zaglądnąca w przymierzalniach do luster, wciąż na nowo popadała zarazem w zwątpienie. Czy naprawdę jej mąż chce w niej odkryć kobietę i prawdziwą żonę? Ach, jaka szkoda, że nie jest tak ładna jak na przykład Fiona Campbell-Blair. Jaka szkoda...

W domu postanowiła, że do teatru ubierze się w szary kostium nabyty przy Oxford Street. Większość z tego, co dziś kupiła, miało barwę szarą, wyjąwszy dwa beżowe staniki. Przeglądając swoje sprawunki pomyślała, że to chyba jakiś dalszy ciąg „mimikry”. Owa dominująca szarość.

Paroma ruchami szczotki uporządkowała krótkie włosy i już była gotowa do wyjścia. Włożyła swe okulary do czytania, bo przyszło jej do głowy, że szkła przydadzą jej wyglądu serio.

Z pewnością przydadzą.

Zerknęła na zegarek: była godzina siódma. Prawie biegiem ruszyła schodami w dół. Chciała się przed mężem stawić punktualnie.

- Naprawdę potrzebne ci te okulary? - pytał James, pomagając jej się rozebrać w szatni teatralnej.
- Oczywiście. Zamierzam kupić i przeczytać program sztuki.
- Nie wiem, czy zdążysz. Czy zdążymy - poprawił

się. - Do przedstawienia zostało dziesięć minut. - Otoczył żonę ramieniem, a Mattie przeniknął dreszcz. Pożądała jego dotknięć, skrywając to i przed nim, i przed sobą.

Kupili program i zajęli miejsca. Światła zaczęły gasnąć, lecz Mattie nie zdejmowała okularów. Zsunęła je tylko na czubek nosa.

Zaintrygowany James patrzył więcej na nią, niż na scenę... Ładny profil, pomyślał, śliczne, długie rzęsy, prosty nos, wysokie czoło... I te usta: usta do całowania.

Przeniósł spojrzenie niżej. Kupiła sobie skromny kostium, aby podkreślić przemianę w żonę „z umowy”. Jej kobiece kształty pozostały jednak wyraźne. Biedna dziewczyna nie wie, na co się zdecydować, czy chce być myszką, czy mimo wszystko wampem?

Odwrócił głowę i uśmiechnął się do siebie. Poczuł przyływ nieznanej mu przedtem czułości.

Mattie nazbyt przejęła się jego wczorajszą tyradą przeciw uwodzeniu, uznał. A dziś rano chyba nie całkiem uwierzyła zmianie poglądów na jej kobiecość, o której mówił. Mącą jej w głowie, pomyślał.

Westchnął cicho. Do diabła, co za brak stałości. Jestem jakiś rozregulowany, może to po tej awanturze z Fioną? Taka klęska! Taka klęska!

A żona? Znów spojrzał w stronę Matildy. Najpierw starała się go uwieść - teraz zaś gotowa zupełnie zmienić front. Lecz to pobudzi we mnie myśliwego: James znał siebie. - I co, i może ja zacznę uwodzić tę dziewczynę?

Lecz to nie byłoby uczciwe, powiedział sobie. Mattie zasługuje na coś poważniejszego. O tak, na coś znacznie poważniejszego.

Nachylił się do ucha żony, ujmując ją lekko pod ramię.

- Pięć minut stąd jest restauracja. Może byśmy już poszli, co ty na to? Matts.

Poprawiła szkła i przyjrzała mu się z bliska.

- James... - pokręciła głową. Jego zamiar był dla niej nieczytelny. Nie podoba mu się sztuka? Jej zdaniem ten Harold Pinter był całkiem niezły. I właściwie po co tu w ogóle przyjechali, jeśli mieliby stąd wychodzić po pół godziny?

Próbowała dalej obserwować scenę, ale James zaczął się powoli podnosić. Cóż było robić, musiała pójść w jego ślady.

- Co się stało? - zapytała w szatni.

- Wolę być z tobą niż z Pinterem - odpowiedział jej enigmatycznie.

Wyszli i kroczyli przez mroźną noc, wydychając obłoczki pary.

- Wolisz być ze mną... ? - Zerknęła na niego. - Ale co to dla ciebie znaczy: ze mną?

Spojrzał, otworzył usta, potem je zamknął i jakby się zastanawiał. W końcu nic nie odrzekł, objął ją tylko i dalej szli jak para zakochanych. W Mattie zarazem rosło i truchlało serce.

Przed lokalem puścił ją przodem. Uchylił drzwi. Buchnął gwar i blask.

Zaoferowano im dość intymne, ustronne miejsce, ocienione roślinnością, między innymi cieplarnianym jaśminem, który właśnie kwitł. Na stoliku zapalono świece. W szklanej misie pływały białe kamelie. Kelner, niepytany, przyniósł szampana w kubelku z lodem. Mattie pomyślała, że James musiał chyba zamówić to wszystko wcześniej. I ma się tu rozegrać jakieś przedstawienie? Wyszli z teatru, aby trafić do teatru? Będą tu udawali zakochanych? Ale przed jaką publicznością? I po co?

To znaczy ona nic w tej mierze nie udaje, zreflektowała się. Już raczej przeciwnie, jeśli coś w ogóle gra przed mężem, to „nie zakochaną”. A on?

- James, co to wszystko znaczy - rozejrzała się dookoła. - Będiesz mnie tutaj uwodził? Teraz twoja kolej? - Zapytała tak, aby dać mu od razu szansę powiedzenia czegoś prawdziwego. Dziś rano rozmawiali przecież ze sobą jak para uczciwych przyjaciół.

Nalał jej szampana.

- Powiedzmy, że jest to eksperyment - uśmiechnął się. - Nasz związek jest przecież w ogóle wyprawą w nieznane... Zobaczymy, gdzie los nas poprowadzi. No i czego my sami chcemy od losu.

Przyglądała mu się z rosnącym zaciekawieniem. Nie do wiary, tak niedawno projektowali swe małżeństwo jako nieledwie rodzaj przedsiębiorstwa, a tutaj...

Nagle w ich intymną przestrzeń ktoś wtargnął. Mattie podniosła głowę i ujrzała, kogóż by, Fionę Campbell-Blair!

- Jimmie, skarbie - zadzwonił głosik Fiony. - Zauważyłam cię w teatrze, jak wychodzisz, i pomyślałam, że wylądujesz właśnie w tej knajpie. Przecież kiedyś tutaj przychodziliśmy razem...

James wstał, a Fiona szczebiotała dalej.

- I w ogóle to słyszałam, że się ożeniłeś, czy to prawda?... O, Matilda, cześć. - Udała, że dopiero teraz dostrzegła jeszcze kogoś w pobliżu. - O rany, obciąłaś sobie chyba włosy, co?

Mattie poczuła nagle, że ją mdli. Najchętniej by się gdzieś schowała przed tą szczebiotką i ślicznotką - najlepiej zapadła pod podłogę. Że też James mógł mieć jakiegokolwiek plany wobec podobnego stworzenia! Widziała dotąd tylko raz pannę Campbell-Blair, gdy kilka miesięcy temu jej obecny mąż przywiózł swą ówczesną narzeczoną do Berrington House, aby ją przedstawić starym przyjaciółom.

Co taka damulka sobie myśli. Że zerwała zaręczyny z Jamesem, a teraz zaleca się do niego ponad głowę prawowitej żony?

- Dobry wieczór - pozdrowiła chłodno Fionę. - Czy zamierzasz się do nas tutaj przyłączyć? Urządzimy jakiś trójkąt na ten jeden wieczór?

Panna Campbell-Blair zatrzepotała rękami.

- Trójkąt? Przyłączyć? Ależ nie, mój Boże. Ja jestem tutaj z własnym towarzystwem. - I odwróciła się do Jamesa, gładząc go poufale po rękawie. - Chciałam ci tylko, Jimmie, złożyć gratulacje, jeśli to prawda, z tym... - zawiesiła głos - z tym małżeństwem.

Odstąpiła pół kroku w tył i posłała Mattie lekceważące spojrzenie.

- No, zresztą nie przeszkadzam - wzruszyła ramionami. Odstąpiła jeszcze o dwa kroki. Potem pomachała ręką w stronę swego byłego. - Ciao, skarbie. Bądź szczęśliwy. Jeśli potrafisz.

Powiedziawszy to - zniknęła.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Reszta wieczoru była już jedną klęską. Nastrój prysł, rozmowa się nie kleiła, James i Matilda prawie nie tknęli zamówionych potraw. Na szampana także stracili ochotę.

- Poproszę kogoś, żeby nam sprowadził taksówkę.
- James zaczął się rozglądać za kelnerem. Równocześnie pytał siebie w myślach, co się właściwie stało? Fiona była niegrzeczna wobec jego żony, a on nie zareagował należycie, to prawda. Jednak to, że Mattie aż tak zeszywniała, demonstrując niechęć względem niego sprawiło, że i on poczuł jakąś niechęć względem niej.

Płacąc rachunek, rzucił mimochodem:

- Nie mówiłem ci... Jutro lecę do Jerez na kontynencie. Pamiętasz, moja firma wznosi tam kompleks rekreacyjny z hotelem.

Czynności przygotowawcze zostały właśnie zakończone, umowa podpisana. W istocie nie musiały wcale lecieć do tego Jerez; jego pierwszy zastępca i główny architekt firmy daliby sobie radę sami. Pomysł podróży powstał teraz, ad hoc.

Przyda mi się dystans, szybko rozważał James. Nagłe wtargnięcie Fiony, konfrontacja obu kobiet coś tam znów pozmieniały w jego głowie. Czy naprawdę jest jakaś sensowna przyszłość przed nim i Matildą? Dobrze to będzie przemyśleć z oddalenia.

- Kiedy lecisz? - Mattie zaczęła od razu zbierać swoje rzeczy.

Wbrew temu, co sądził James, nie była obrażona, najwyżej zniechęcona. Widziała, jak pojawienie się panny Campbell-Blair podziałało na jej męża. Stał oniemiały, najwyraźniej zaczarowany. Z powodu takiej idiotki! Chociaż ślicznotki.

- Trudno powiedzieć - wzruszył ramionami James, podnosząc się z krzesła. Zapinając marynarkę, miał chwilę wahania, czyby jednak nie wykrzesać z siebie odrobiny entuzjazmu, nie podejść do Mattie, nie pocałować jej i nie doprowadzić do zakończenia wieczoru według pierwotnego planu. To znaczy powinien chyba zostać nareszcie prawdziwym mężem własnej żony? Tak byłoby normalniej.

Lecz na nic się nie zdobył. Mattie zasługuje na coś lepszego niż zwykle uwiedzenie, powtórzył sobie wcześniejszą myśl - tym razem jako wykręt. A poza tym on sam musi uporządkować swoje uczucia, zamiary, plany. Okazja do podróży hiszpańskiej spada mu tutaj jak z nieba.

James patrzył, jak Mattie składa swe okulary i chowa je do etui.

- Oczywiście będę do ciebie dzwonił - powiedział. - Gdyby ci się nudziło - dorzucił - może zechcesz pomóc swemu ojcu? On zdaje się teraz właśnie zaczyna się przeprowadzać z Berrington do Londynu.

Mattie nic nie odpowiedziała. W milczeniu przeżywała nagłą klęskę. Bo była to chyba klęska? Jej ukochany nie uwolnił się najwyraźniej dotąd spod uroku swej byłej narzeczonej i teraz po prostu rejteruje. Leci za morze, choć jeszcze wczoraj nie miał tego w planach. Gdyby miał, chyba zawczasu by o tym porozmawiali?

W dodatku nie wiadomo, kiedy wróci... Może nieprędko... I czy kiedykolwiek tak naprawdę byli przyjaciółmi? Albo choć kolegami? Czy tak postępuje dobry kolega, że nagle zabiera swoje zabawki i przenosi się gdzieś na podwórko obok?

Odjechał o świcie, zanim zdążyła się obudzić.

Kiedy wstała, dom bez niego wydał jej się po prostu bezludny.

W pierwszej chwili pomyślała, że może zadzwoni do swej agencji i zapyta, czy nie mieliby dla niej jakiejś nowej książki do tłumaczenia? Ale porzuciła ten zamiar. Czowała, że nie będzie się teraz w stanie skupić na żadnej pracy umysłowej.

Wreszcie doszła do wniosku, że może pójdzie za poradą Jamesa i rzeczywiście pomoże ojcu w przeprowadzce? Od razu chwyciła za słuchawkę.

I już w parę minut potem wiedziała, że Berrington

House został bardzo korzystnie sprzedany, a ojciec i pani Flax („mów mi Emily", doleciało z drugiego aparatu) siedzą na walizkach i czekają właśnie na firmę przewozową, która ma przysłać swój furgon dziś po południu.

Zaraz po śniadaniu Mattie wyruszyła do Sussex i już około jedenastej była w Berrington. Dom z zewnątrz wyglądał tak jak zawsze, wewnątrz był jednak zupełnie zdekomponowany. Wszędzie stały fura pudeł, część mebli uległa demontażowi, ileś cennych przedmiotów czekało na wysłannika domu aukcyjnego, bo przecież w apartamencie londyńskim nie pomieści się to wszystko.

Mattie poczuła ucisk w sercu. Wraz z końcem Berrington House przyszedł oto koniec jej młodości.

Ojciec także wydawał się markotny, chociaż nadrabiał miną. Kiedy mu powiedziała, że James nagle wyjechał, i to prawdopodobnie na dłużej, sięgnął po swą fajkę, choć niby wcześniej rzucił już palenie.

- Dziwne - pokręcił głową. - Dziwne. Jerez to piękna miejscowość, na południu Hiszpanii. Jeśli poleciał tam na dłużej, czemu nie wziął ciebie z sobą? Mielibyście jakąś tam podróż poślubną, a tak...

- Wcale nie tęsknię za Hiszpanią! - odpowiedziała ojcu szybko. I nie było to wcale kłamstwo. Gdyby nawet James chciał ją zabrać (a ojciec nie musi wiedzieć, że nie chciał), i tak by mu odmówiła.

Wolała teraz pobyć sama, aby się jakoś oswoić z nową

sytuacją, z upadkiem nadziei na ulepszenie ich małżeństwa i zwłaszcza na to, że mogłaby kiedykolwiek zająć miejsce Fiony w sercu męża.

Rozmawiali w kuchni, w której rozgardiasz przeprowadzkowy wydawał się stosunkowo mniej dotkliwy. Emily Flax poruszała drewnianą łyżką w potrawce na patelni, bo zbliżała się pora lunchu.

- Wydaje mi się, żeś słusznie zrobiła - zwróciła się do Matildy. - O tej porze roku najlepiej siedzieć w domu... Dla mnie nawet ta przeprowadzka do Londynu jest teraz czymś trudnym do zniesienia - westchnęła. - Zwłaszcza to.

- Ależ Emily - odezwał się ojciec. - Czy istniało dla nas inne wyjście? W obecnej sytuacji nie utrzymalibyśmy Berrington...

- A, daj już spokój, Ed. - Pani Flax machnęła ręką. Potem sięgnęła do kredensu i wyjęła zeń półmisek, na który zaczęła przekładać potrawkę.

Edward Trent odchrząknął, puścił jeszcze jedno kółko ze swej fajki i zwrócił się do córki:

- Mattie, jest coś, co może powinnaś wiedzieć. Otóż Emily i ja...

- Wiem, wiem - przerwała Mattie. - Zamierzacie się pobrać. Zgadłam? Moje gratulacje! - Posłała obojgu promienny uśmiech, starając się na chwilę zapomnieć o własnym położeniu.

- Jak tyś na to wpadła! - Ojciec był tak zdumiony, że prawie nie zauważył, jak mu pani Flax wyjmuje fajkę z rąk.

- Kobiety mają intuicję, skarbie. - Emily usiadła i zaczęła rozdawać talerze. - Mam rację, Mattie?

- No a kiedy ślub?

- W kwietniu. Potem planujemy małą podróż do Paryża. Paryż na wiosnę jest piękny... Mógłbyś otworzyć wino? - Emily wręczyła panu domu butelkę.

W tym momencie zadzwonił umocowany do ściany telefon.

- Nie wstawajcie, ja odbiorę - powiedziała Mattie. - To pewnie ci panowie od przeprowadzki.

Dzwonił jednak kto inny.

Mattie była bardzo zaskoczona, usłyszawszy głos Jamesa. Wedle umowy, miał się odzywać raz w tygodniu, i ten pierwszy raz wyznaczili sobie na najbliższy weekend. W milczeniu słuchała tego, co miał jej do powiedzenia.

- No i co tam, co tam? - dopytywali się od stołu starsi państwo.

Mattie powiesiła słuchawkę.

- To był mój mąż - wzruszyła ramionami. - Ale wyobraźcie sobie, że wraca jeszcze w tym tygodniu! A zaraz potem - nie mogła się nie uśmiechnąć - mamy polecieć na miesiąc na Barbados... Powiedział, że wynajął tam dla nas domek.

- Domek! - zawołała pani Flax. - No, no.

- No właśnie, Emily. I co ja mam zrobić? Jednak ruszać w podróż? W zimie?

- Przede wszystkim siadaj teraz i zjedz coś - odpowiedziała pani Flax.

- Ja tam się cieszę, że będziecie mieli swój miesiąc miodowy - odezwał się ojciec. - Nawet jeśli nieco spóźniony.

Czy to aby na pewno miesiąc miodowy, pomyślała Mattie, nakładając sobie potrawkę. Wśród tych wszystkich zmiennych nastrojów Jamesa nie wiadomo już, co sądzić o jego prawdziwych zamiarach. A jeśli on chce tylko wywieźć ją na Karaiby, aby tam, na odludziu, przygotować do ostatecznego rozstania? Ta myśl nie była tak całkiem bezsensowna.

Mattie odłożyła widelec. Poczowała nagle, że jakoś straciła apetyt.

- No jak, lepiej ci trochę?

Głos Jamesa zdawał się dobiegać gdzieś z bardzo daleka. Mattie nie otwierała oczu. Nie spała już, ale wciąż nie mogła przyjść do siebie po wielu godzinach lotu. W airbusie miała mdłości, a gdy wylądowali na Barbados, czekał ich jeszcze następny lot, helikopterem, na jedną z małych wysepek atolu.

Przemogła się wreszcie. Uchyliła powieki. James siedział przy niej na krawędzi podwójnego łóża małżeńskiego i uśmiechał się przyjacielsko. Białe ściany poznaczone były kreskami blasku filtrowanego przez drewniane żaluzje. W domku nie było gorąco; najwyraźniej działała klimatyzacja.

- Czy to już jutro? - zapytała, niezbyt mądrze. James poruszył brwiami, dając poznać, że zrozumiał i akceptuje

to dziwne pytanie. Ale zamiast odpowiedzieć, sam jeszcze raz spytał:

- No, Mattie, lepiej ci trochę? Spałaś chyba z dziesięć godzin.

Czy było jej lepiej? Westchnęła i postanowiła się podnieść. Odrzuciła nakrycie. W następnej chwili, widząc zmianę w spojrzeniu męża, uzmysłowiła sobie, że jest naga (bo kładąc się, półprzytomna od upału i zawrotów głowy, zapomniała o jakiegokolwiek koszuli). Szybkim ruchem nakryła się z powrotem.

- Szkoda... - zamruczał James.

To jedno jego słówko podziałało na nią jak afrodyzjak. Gdyby chciał, mógłby ją w tej chwili mieć. Stwardniały jej czubki piersi i poczuła gorąco w dole brzucha.

Opuściła powieki. Pomyślała, że to wszystko nie ma jednak sensu. Przecież ich małżeństwo zmierza donikąd. A przybyli tutaj, do tego raj, tylko po to, żeby utracić raj. W każdym razie Matilda była przekonana, że ona go utraci.

- Czy to ty pomagałeś mi się wczoraj położyć? - zapytała. Bardzo niewiele pamiętała z pierwszych chwil na wyspie. Miała po podróży migrenę, James dawał jej jakieś tabletki, a potem pomagał wejść po schodach.

- Nie, to Mercy - powiedział. - Zaopiekowała się tobą więcej niż fachowo.

Po tych słowach wstał i podszedł do okna. Rozsunął

dwie listwy żaluzji i wypatrywał czegoś na zewnątrz, mrużąc oczy od blasku.

Zerknęła na niego. Wydał jej się znowu bardzo piękny. Był w jasnych dzinsach i w czarnej koszulce bez rękawów. Wysoki, wąski w biodrach, szeroki w ramionach, już opalony, choć to środek zimy... No tak, ale przecież kilka dni był na południu Hiszpanii...

- A kto to jest Mercy? - zapytała ostrożnie.

- Mercy i jej mąż Manuel zajmują się naszym domem - odwrócił się James. - Pochodzą z tej wyspy. - Ruszył ku drzwiom i ujął klamkę. - Ja jestem już po śniadaniu, a tobie Mercy zaraz coś przyniesie... Czekam na dole, a potem... No, zobaczymy, co będzie potem.

Wyszedł, a Mattie pomyślała, że to „zobaczymy” wygląda jak prawdziwa groźba. Nie myli się więc: nic dobrego ich tu nie czeka.

Zacząła się podnosić z łóżka. Właściwie dosyć miała już tej całej huśtawki; jaka szkoda, że nie zdobyła się na stanowczość wtedy przed ślubem i nie powiedziała Jamesowi „nie”. Oszczędziłaby sobie mnóstwo niepotrzebnej nadziei i rozpacz. Może teraz sama uprzedzi jego kolejne wahania i przetnie wreszcie tę historię?

Weszła do łazienki, która zaskoczyła ją swym luksusem. W takim miejscu, na końcu świata! Ściany pomieszczenia wyłożone były zielonym marmurem, armatura połśniewała chromowo, narożna wanna, do której prowadziły trzy stopnie, miała rozmiary małego basenu. Na

półkach było mnóstwo kosmetyków i kolorowych ręczników.

Mattie wzięła szybki prysznic. Umyła zęby i poczuła, że pomалу odżywa.

Kiedy wróciła do pokoju, zauważyła na stole tacę ze śniadaniem. Widocznie Mercy zdążyła tu być pod jej nieobecność. Zapach kawy podrażnił jej nozdrza, ale najpierw trzeba się przecież ubrać. Bo co by to było, gdyby James niespodziewanie wrócił? No a co powinna włożyć: na upał wystarczy chyba jakaś cieniutka koszulka i krótka spódniczka?

Teraz kawa. Sama kawa wystarczy, i może jeszcze jakieś owoce. Mattie uznała, że jej żołądek po wczorajszych breweriach nic więcej nie przyjmie.

Podeszła do okna. Obróciła żaluzje. Zauważyła, że dom otoczony jest starannie utrzymanym trawnikiem, a dalej jest od razu morze - mała zatoczka, z piaszczystą plażą i kilkoma palmami.

A więc raj, rzeczywiście raj... A kto napisał *Raj utracony*? Oczywiście: John Milton.

Muszę być twarda, postanowiła Mattie. Twarda bez względu na to, jak się zachowa James.

Była gotowa do zejścia na dół. Rozejrzała się jeszcze tylko za jakimiś sandałami. Zdziwiła się, że w szafie są rzeczy nie tylko jej, ale i męża. Widać Mercy, która ich rozpakowywała, nie wie, że będą przecież mieli dwie osobne sypialnie.

Znalazła sandały i już po chwili była na schodach.

Zatrzymała się, wyprostowała, nabrała powietrza i znów ruszyła. Od czego więc zaczną z Jamesem to rozstanie na odludziu?

Na parterze, zamiast męża, znalazła Mercy. Musiała to być ona... Mattie zobaczyła niewysoką, kształtną kobietę około czterdziestki, o skórze koloru kawy z mlekiem i dość regularnych rysach.

- Dzień dobry - odezwała się Mulatka. Mówiła po angielsku z hiszpańskim akcentem. - Mam nadzieję, że doszła już pani do siebie? Taka gwałtowna zmiana klimatu i lot nad oceanem często wywołują podobne sensacje.

Mattie z jakiegoś powodu od razu polubiła tę kobietę. Uśmiechnęła się.

- A gdzież to mój mąż? - zapytała.

- Jest na tarasie, przy basenie. To tutaj. - Mercy zrobiła kilka kroków w stronę wyjścia. - Proszę.

Mattie podążyła za nią. A gospodyni mówiła dalej:

- Pani też doradzałabym na razie kąpiel w basenie.

Nie wszystkie plaże morskie są bezpieczne. Manuel pokaże państwu, gdzie rafy koralowe dobrze chronią od rekinów.

- O, w takim razie rzeczywiście zostaję na basenie - skwapliwie zgodziła się Mattie.

Postarała się użyć lekkiego tonu, ale na sercu było jej ogólnie nielekkko. Za chwilę zaczną przecież rozmawiać z Jamesem, i o czym, jeśli nie o rozstaniu?

- Może przyniosę państwu jakieś napoje? - Mercy, zatrzymała się w otwartych drzwiach. - Albo owoce? Albo jeszcze kawy?

Słowa gospodyni docierały do Mattie jakoś bokiem, bo zaabsorbowana była tym, co się za chwilę wydarzy. Machinalnie pokiwała głową. Ruszyła powoli przed siebie, oślepią blaskiem, lśnieniem wody, czując że łyżka cisną jej się do oczu.

James leżał wyciągnięty na łóżku plażowym, obok którego stało drugie takie samo. Włosy miał mokre, ulizane, widać pływał przed chwilą. Spoczywał odwrócony i Mattie przystanąła, chłonąc przez moment widok męża, jego zgrabną sylwetkę, całą tę nagość, pretekstowo jedynie osłoniętą plażową przepaską.

Jak być w konfrontacji z kimś takim twarzą, pomyślała sobie? Przecież ona kocha to ciało - i nie tylko ciało.

- Mattie?... - zapytał James.

Musiał usłyszeć, jak rozmawiały na progu domu z Mercy.

- Mattie! - odwrócił głowę. - I czemu tam tak stoisz? Chodź - zachęcił ją, wskazując ręką drugie łóżko.

Zacząła się zbliżać, a on się podniósł, siadając.

- Wyglądasz znacznie lepiej - powiedział, przypatrując się jej zza ciemnych szkieł.

W jego głosie Mattie odgadła rodzaj aprobaty... Ale żadnych tonów życzliwszych nie udało jej się jednak dosłyszeć.

- Może parasol? - zaproponował. Nie czekając na odpowiedź wstał, rozpiął parasol i ustawił go przy sąsiednim łóżku.

Z wahaniem usiadła.

- Pogadajmy trochę. - James ułożył się z powrotem. Ciężko westchnęła. Najchętniej uciekłyby stąd gdzieś albo zapadła się pod ziemię.

Z ulgą spostrzegła, że z domu wyszła Mercy, niosąc tacę. Jak dobrze, że jest ta Mercy, coś w niej szybko myślało, ach, może ją tu jakoś zatrzymać, zrobić cokolwiek, byle odwlec groźną rozmowę z Jamesem.

Taca stanęła na niskim stoliku między leżankami. Był na niej dzbanek ze świeżą kawą, filiżanki, śmietanka i kostki cukru. W wysokim szklanym naczyniu pienił się sok z grejfrutów.

- O, jak wspaniale, Mercy, bardzo pięknie - improwizowała coś nieskładnie Mattie. - Prawda, James? Pyszne to wszystko. Napijemy się kawy? Czy soku?

Widząc, że Mercy odwraca się i chce odejść, próbowała ją czymś nadal zagadywać.

- A o której będzie lunch? Zrobisz nam chyba coś lekkiego, prawda? Na taki upał! - I jeszcze coś mówiła dalej, sama siebie nie słysząc i nie pojmując.

Po chwili dotarły do niej słowa Jamesa:

- Myślę, Mercy, że o pierwszej. Zgoda? Mulatka skinęła głową, odwróciła się ostatecznie i odeszła.

Mattie opadła na oparcie. Serce jej waliło. Zamknęła oczy. Kciukiem i palcem środkowym lewej dłoni zaczęła sobie pocierać powieki.

- Chciałeś o czymś tam pogadać, James - odezwała się cicho.

- A tak, chciałem - potwierdził.

Zerknęła ku niemu. Mąż zaciskał usta, jakby mocując się ze sobą. Po chwili zdjął swe lusterkowe szkła i położył je na stoliku obok tacy.

- A więc? - ponagliła. Próbowwała nie popaść w panikę czy histerię. Z trudem się jednak opanowywała. Twarda nie będę, pomyślała, ale może przynajmniej się nie rozplącę.

- Niełatwo mi zacząć - powiedział i sięgnął po dzbanek z sokiem. - Nalać ci? - zapytał.

Pokręciła głową.

- A więc dobrze. - Odstawił naczynie. Obrócił się ku niej i usiadł. - Zanim pobraliśmy się, zawarliśmy pewien układ, prawda? No i muszę ci teraz, Mattie, powiedzieć, że nie jestem w stanie dotrzymać warunków tego układu!

Poczuła, że krew odpływa z jej serca. Znów zamknęła oczy. Było jej niedobrze. Czyż nie odgadła, nie wiedziała, co się tutaj wydarzy?

Z wysiłkiem nabrała powietrza. I bardzo słabym głosem powiedziała:

- Nie możesz dotrzymać. Rozumiem.

- Nie, nie sędzę, żebyś rozumiała! Jak mogłabyś

zgadnąć, o co mi naprawdę chodzi? - James sięgnął po okulary.

Przez chwilę milczeli.

- Otóż chciałem małżeństwa jako pewnej oazy spokoju. - Włożył okulary, lecz w następnej chwili znów je zdjął. - Znasz te wszystkie moje argumenty... Mieliśmy żyć obok siebie, jednak nie z sobą, rozumiesz, co mam na myśli. Ty twierdziłaś, że to ci odpowiada. I tak dalej.

Dziwnie kluczy, pomyślała. I do czego właściwie zmierza?

- Chciałbym być z tobą uczciwy, Matts, oboje na to zasługujemy - westchnął James. - I może powiem teraz, o co mi chodzi, wprost, bez owijania w bawełnę. No więc najzwyczajniej w świecie pragnę cię, Mattie!

Nie mogła uwierzyć własnym uszom... A więc nie. będzie wygnania z raj?... Zaczęła kręcić głową.

- Nie zaprzeczaj tak od razu - poprosił. - Wiem, że to dla ciebie nagła rzecz, ale lepiej się namyśl. Nie mów od razu „nie”. Ja zrozumiałem, że nie mogę być twoim jedynie teoretycznym mężem. Chcę być twoim mężem naprawdę, w pełni.

Miała ochotę rzucić mu się na szyję. Opanowała się jednak, bo z tym człowiekiem nigdy nic nie wiadomo. A jeśli znów jakoś zmieni zamiary?... Co za huśtawka! Od nadziei w rozpacz, i od rozpacz do obietnicy szczęścia.

- Będziemy tu razem cztery tygodnie - ciągnął swoją przemowę James. - Spokojnie się do mnie przyzwycza-

jaj... I mam nadzieję, że w końcu powiesz „tak”. Bardzo na to liczę. - Wstał, pochylił się nad Mattie i pogłaskał ją po ramieniu. - Może polubisz mnie na tyle, by zostać prawdziwą żoną prawdziwego męża? Pomyśl, od jak dawna się znamy, Matts! - Puścił do niej oko. - Pomyśl.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Patrzyła z bijącym sercem, jak James oddala się, zmierzając w stronę domu.

Ale właściwie co to znaczy, że James chce być jej „prawdziwym mężem”? Dlaczego w ogóle miałby pożądać kobiety takiej jak ona? Przecież nie jest ślicznotką jak Fiona! Nigdy się za nią nie oglądali mężczyźni: co ten jej Jimmie znowu knuje?

Nagle doszła do wniosku, że mąż musi ciągle kochać swą byłą narzeczoną, a jej, Mattie, pragnie użyć zastępczo, ponieważ... no cóż. Jest mężczyzną i ma swoje męskie potrzeby.

Pokręciła głową. Nie, nie, ta teoria jest jakaś prostacka. Być może nawet nielogiczna.

No tak, ale kto powiedział, że w świecie namiętności logika jest coś warta?

Bijąc się z myślami, wstała z leżaka. Najlepiej zrobi, jeśli po prostu wyłoży swe wątpliwości Jamesowi. Dzie sięć minut temu on sam mówił, że należy im się wzajemna uczciwość.

Ruszyła w stronę domu. Po chwili dowiedziała się od

Mercy, że pana nie ma, że wcale tu nie zaglądał. Wobec tego gdzie może być? Może nad zatoczką?

Mattie skierowała się ku plaży. Żwirowa ścieżka zaprowadziła ją na skraj łagodnej skarpy. Po kilku drewnianych stopniach zeszła na piasek.

Wygięta sierpowato zatoczka wydawała się pusta. Z nieba lał się żar. Właściwie nie tylko z nieba, bo świeciły jakby dwa słońca, to drugie odbite w przypominającej roztopiony metal wodzie.

W pewnej chwili, bardzo daleko, prawie na horyzoncie, dostrzegła poruszający się punkcik. Czy to James? Nagle przypomniały jej się ostrzeżenia Mercy przed rekunami. Poczowała wielki strach o męża. Rozejrzała się bezradnie.

- Jimmie! - zaczęła wołać. - Jimmie!

Nie, nie mógł jej usłyszeć. Był za daleko.

Zagryzła dolną wargę. Wtem pomyślała, że to nieważne, z jakiego powodu mieliby zostać „prawdziwym mężem i żoną”. Był on tu wrócił bezpiecznie i już zawsze z nią był.

Z ulgą spostrzegła, że daleki punkcik, zatoczywszy łuk, zaczyna się przybliżać. Po minucie nie miała żadnej wątpliwości, że pływakiem jest rzeczywiście James.

Spojrzała na lewo, spojrzała na prawo: nie, nigdzie nie widać groźnej płetwy rekina. Zrzuciła więc sandały i pomału weszła do wody. Szła przed siebie i zatrzymała się dopiero wtedy, gdy morze sięgnęło jej do pasa, a James był całkiem blisko.

Stanął o kilka kroków od niej, odgarniając obiema rękami włosy w tył głowy. Uśmiechnął się do niej.

- Mattie, dlaczego jesteś w ubraniu?

Dobre pytanie. Rzeczywiście, dopiero teraz dotarło do niej, że jest w spódnicy i w koszulce. Bardzo dziwnie to musiało wyglądać.

Spróbowała być jednak rezolutna.

- Tak jak stoję, wyszłam naprzeciw memu przeznaczeniu!

Odbił się od dna i podpłynął. Kiedy wyrósł tuż przy niej, wydał się bardzo mocny, kształtny, zniewalający niczym jakiś bóg morski. Wyciągnęła ręce i położyła mu je na ramionach.

Oboje oddychali szybko, płytko, nie patrząc sobie w oczy.

Wreszcie podniosła głowę i odważyła się spojrzeć na swego męża.

- Pocałuj mnie - poprosiła.

On stał nieporuszony, z opuszczonymi rękami.

- Naprawdę mnie chcesz? - spytał cicho. Miłość dodała jej odwagi.

- Chcę - odrzekła i sięgnęła do jego prawej dłoni.

Uniosła ją i położyła sobie na piersi.

- Dobrze to przemyślałaś? - odezwał się.

Gdy puściła jego rękę, James pozwolił jej opaść.

Poczuła się nieswojo... Czy to ona ma go zdobywać? Kto z nich dwojga jest mężczyzną?! I kto tu ma prawdziwe doświadczenie?

Spojrzała w bok, ku tej linii na horyzoncie, gdzie woda spotyka się z niebem.

Dlaczego tak trudno spotkać się w świecie z drugim człowiekiem, pomyślała.

Odwróciła się i zaczęła brnąć w stronę brzegu. Znów, jak przed godziną, czuła, że ma pod powiekami łzy. Całe słone morze łez.

Nie uszła daleko. Dogonił ją i obrócił ku sobie.

- Mattie... - Zajrzał jej w oczy tak, że poczuła go w całym ciele i duszy.

Przytuliła się, obejmując go w pasie.

On zaczął całować jej włosy, czoło, powieki, policzki, aż dotarł do ust.

Pierwszy raz w życiu smakowała teraz mężczyznę i coś się w niej rozjaśniło, roześmiało, bo jak to możliwe, że zwlekała tyle lat z czymś tak wspaniałym? Karmić się oddechem kochanej istoty: nie ma nic lepszego na ziemi.

Oderwał się od niej.

- Może byśmy poszli do domu? - powiedział cicho.

W pierwszej chwili nie zrozumiała, co mówi. Potem szybko pomyślała, po co dom? Tu jest raj, tu się całują, tu się łączą wszelkie żywioły i nasycają się głody.

On znowu zajrzał jej w oczy tak - że aż do serca. Poczuła, jak słabną pod nią kolana, i gdyby jej nie trzymał cały czas w ramionach, osunęłyby się do wody.

Zacząła iść razem z nim ku plaży, a on szeptał jej

do ucha, co ma zamiar z nią zaraz zrobić i dlaczego potrzebują do tego zupełnej intymności.

Wirowało jej w głowie; nie zauważyła, kiedy przebrnęli przez piasek, dotarli do willi i weszli po schodach na górę. Drżała z niecierpliwości i lęku. Chciała „tego czegoś” bardzo i nie chciała. Nie mogła uwierzyć w to, co ma się zaraz stać. Wydawało jej się, że śni.

Mercy od rana zdążyła uprzątnąć pokój, prześcielić na nowo łóżko, wstawić pachnące kwiaty do wazonów.

- Zdejmij te mokre rzeczy - poradził James. - Jeszcze mi się przeziębisz. Zdaje się, że przesadziliśmy tu z klimatyzacją.

W istocie, w zestawieniu z upałem na zewnątrz w sypialni było dość chłodnawo.

- Może oboje weźmiemy prysznic? - zaproponował. - Wiesz, słona woda... - Nie czekając na odpowiedź, ściągnął slipki i ruszył w stronę łazienki. Po drodze wyłączył klimatyzator.

Zawahała się. Co innego być razem w morzu, ale razem w łazience...? W tak ustronne miejsce przywykła jakoś dotąd chodzić sama.

Zwlokła z siebie koszulkę, spódnicę i figi. Poszukała piżamy, włożyła ją i nie wiedziała, co dalej. Słyszała przez półuchylone drzwi do łazienki szum wody i parskanie Jamesa. Przysiadła na brzegu łóżka.

Kiedy się pojawił na progu w całej swej wspaniałej nagości, poderwała się, niczym do jakiegoś egzaminu.

Musiała mieć wyraz przestachu na twarzy, bo spontanicznie zaczęła ją uspokajać.

- Mattie - powiedział - odpręż się... My tutaj nic nie musimy. - Zawahał się i zamiast do łóżka podszedł do komody. Wyjął z szuflady bawełniane szorty i po chwili stał już przed nią zwyczajny, ubrany, niewyzywający.

- Nic nie musimy - powtórzył. - Mamy czas. Możemy to wszystko odłożyć.

Usiadła z powrotem, oparła łokcie na kolanach i ukryła twarz w rękach.

- Kiedyśmy się całowali - powiedział, zbliżając się - i jeszcze wcześniej, wydawało mi się, że mnie chcesz. Sama mówiłaś...

Skinęła głową.

Przysiadł obok niej, objął ją i pokołysał delikatnie.

- No, naprawdę nic się nie stało... Mógłbym się nawet wyprowadzić na noc do pokoju obok, gdyby spanie ze mną w jednym łóżku miało cię na razie krępować.

Strasznie jej było wstyd. Gdyby była tą kretynką Fiona, z pewnością nie miałaby żadnych wahań... A za to o wiele więcej doświadczenia! Tymczasem teraz siedzi jak sparaliżowana obok człowieka, którego kocha... i nie umie się do niego zbliżyć. Prawdziwa rozpacz.

Zaczęła płakać.

On znowu ją uścisnął.

- No, Mattie...

Osunęła się w dół i położyła mu głowę na kolanach.

- To nie to... - zaczęła mówić przerywanym głosem -
żebym nie chciała się z tobą kochać. Chcę, bardzo chcę.
Tylko...

- Tylko co? - nachylił się ku niej.

- Wstydzę się po prostu... Boję się, że cię rozczaruję.
Że jestem może nieatrakcyjna.

Pogłaskał ją po włosach.

- Ach... - westchnął. - Co te matki wyrabiają ze swymi córkami. Jakie rzeczy im w dzieciństwie wmawiają.
Jesteś niewątpliwie ofiarą swej mamusi.

Po chwili zaczął się podnosić.

- Chodź - pociągnął ją za rękę. - No chodź.

- Dokąd? - spytała.

Zaczął osuszać jej twarz wierzchem dłoni. Potem pocałował ją.

- No chodź - powtórzył.

Podeszli do dużego lustra, zdobiącego ścianę naprzeciw okien.

- Popatrz, to my - uśmiechnął się do niej w lustrze. I objął ją ramieniem. - I uważam, że podobamy się sobie. To znaczy nie każde sobie, tylko my sobie wzajemnie. Dobrze mówię?

Obróciła głowę, z pytaniem w oczach.

- Mattie - powiedział. - Przestań się wiecznie zajmować samooceną, zwłaszcza zaniżoną oceną. Przeglądaj się uważniej w oczach innych, wtedy zrozumiesz, jaka jesteś. Popatrz na mnie, przecież ja cię pragnę! - Mówiąc to, zaczął odpinać guziczki jej piżamy, a ona spoglądała jak zahipnotyzowana, jakby widziała to

na filmie. Po chwili oboje stali półnaczy.

Mattie odwróciła się od lustra, wtulając się w męża, chowając nos w jego ramię.

- Poczekaj, to jeszcze nie koniec! - zaśmiał się. Z powrotem ją obrócił. - Popatrz, jakie masz piękne piersi. A pępek? - Odciągnął palcem gumkę dołu jej pizamy. - A talia? I ramiona... - Stał za nią. Potem, obejmując dłońmi piersi, zaczął pogryzać jej kark.

Mattie przebiegł dreszcz. Instynktownie poruszyła biodrami i w jednej chwili poczuła, jak napiera na nią od tyłu męskość Jamesa.

On mocno przywarł do niej, nie przestając cicho mówić do jej odbicia w lustrze.

- To nieprawda, co ci dotąd wmawiano, co być może ja sam kiedyś mówiłem... Nie jesteś żadną „myszką”... Widziałaś kiedy złotooką myszkę? Na pewno nie.

Uśmiechnęła się. Był dla niej naprawdę miły.

- A te śliczne usta... - przesunął delikatnie palcem wskazującym po jej wargach.

Jeszcze raz się obróciła ku niemu i pierwsza go całowała. I stopili się ze sobą jak tam, przed półgodziną, wśród fal.

Nie wiadomo kiedy dotarli do łóżka, przewrócili się na nie i rozebrali do końca.

- Jakaś ty słona - szeptał James, całując jej piersi, brzuch i uda.

- A ty słodki... - spróbowała się z nim przekomarzać.
- Ja tam wolę słodkie niż słone.

Były to jej ostatnie przytomne słowa, nim pogrążyła się w żywiolo, o którym dotąd roiła tylko w snach.

Krzyknęła krótko, gdy wtargnął w nią. Ból jednak nie był duży. Za to rozkosz, którą umiejętnie w niej pobudził - wystarczająco duża, taka, by zatęskniła zaraz do następnej. I ku jej zdumieniu przyszła następna, gdy James, odgadując jej pragnienie, pokołysał się z nią razem jeszcze trochę.

- I może jeszcze raz? - szepnął. - Widzę, Matts, że masz specjalny talent do miłości.

Pokręciła głową, tym razem zupełnie nasycona. Czuli się u celu wszystkich celów, w samym środku świata.

- Jakie życie może być dobre - zamruczała. - Jakie dobre.

- Matts! - przypadł do niej ustami. - Widzisz? Jak mogłaś myśleć, że mnie rozczarujesz? Że siebie rozczarujesz. Jesteś piękna i umiesz się kochać... Zapomnij o przeszłości. Teraz jesteśmy w raju.

Przez kilka chwil leżeli milcząc, obejmując się tylko i obserwując ruch słonecznych cętek na ścianach - drganie upału filtrowanego przez żaluzje.

- Wiesz, James... - Mattie uniosła się na łokciu. - Ale w bajkach jest tak: „i niczego im już do szczęścia nie brakowało, oprócz dzieciątka”. I co ty na to? Czy my kiedykolwiek będziemy mieli dzieci? Wiem, znam twoje poglądy, ale...

- Mattie... - przerwał jej. - Lepiej o tym nie mówmy.
Nie: nie chcę mieć żadnych dzieci.

Opadła na wznak.

- Ale ty wiesz, że kochaliśmy się teraz bez zabezpieczenia?

James uniósł się raptownie.

- O, do licha, rzeczywiście! Jak mogłem... Zupełnie straciłem przez ciebie głowę. - Spojrzał na swą żonę z mieszaniną podziwu, oskarżenia i autoironii. - Coś takiego zdarzyło mi się pierwszy raz w życiu.

- Naprawdę? - usiadła obok niego,

- Możesz to uznać za komplement, Matts - uśmiechnął się, wruszając ramionami. - Jesteś naprawdę niesamowita. - Pokręcił głową.

Objęła go i przyciągnęła do siebie.

- Oj, Jimmie. Chciałabym wierzyć w to wszystko, co tutaj mówisz.

Pocałował ją w usta.

- Myślisz, że można mi nie wierzyć?

- Hm... Dość często zmieniasz poglądy.

- Ale zawsze na lepsze, prawda? - Zerknął ku niej łobuzersko.

Potargała mu włosy. James spoważniał.

- Na przyszłość założymy ci chyba spiralkę, co? A ten dzisiejszy raz... - poruszył brwiami. - Wolałbym, żebyśmy jednak uniknęli ciąży. Który to u ciebie dzień cyklu?

- Będę musiała policzyć. Dotąd nie prowadziłam jakiegoś dokładnego kalendarzyka - spojrzała z zakłopotaniem.

- Bo wiesz, zawsze możesz połknąć tę słynną pigułkę zwaną „dzień po”... Żeby było śmieszniej, na naszej prawie bezludnej wysepce jest mały drugstore, gdzie na pewno coś takiego dostaniemy.

Mattie zrobiło się przykro. To nieromantyczne, rozmawiać teraz o cyklu i o pigułkach. James mógłby być delikatniejszy. Zresztą ona marzy o dziecku z nim i za żadne skarby nie wzięłaby żadnego „dzień po”.

- Nie, chyba nie potrzeba - pokręciła głową. - Wydaje mi się, że jesteśmy bezpieczni.

Przyjrzał jej się.

- Chyba czy na pewno?

Odchrząknęła. Zaczęła liczyć w myślach i niestety pobieżny rachunek nie wypadł zbyt jednoznacznie. A jednak nie zawahała się pokręcić głową.

- Na pewno. Raczej na pewno.

- No dobrze, wierzę ci... - James przeciągnął się, a potem opuścił nogi na podłogę. - Dochodzi pierwsza - spojrzał na zegarek. - Powinniśmy chyba pójść na lunch? Zamówiliśmy go przecież na pierwszą.

- Ja mam jeszcze zaległy prysznic - uśmiechnęła się Mattie. - Chyba poczekaż na mnie?

- Nie poczekam. - Schwycił ją wpół. - Sam cię namydlę! - Ujął ją mocniej i uniósł. - Chodź, moja rybko, zaniosę cię do wody.

Objęła go za szyję. Czowała się taka lekka i beztroska... Nie, nie całkiem beztroska. Bo co on powie, jeśli jednak się okaże, że jest w ciąży? Może uznać, że go teraz oszukała, a wtedy ich idylla rozsypie się jak domek z kart. James bywa taki zmienny...

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Naprawdę musimy tam dzisiaj iść? - dopytywała się Mattie.

W jej głosie było jakieś wahanie, pomyślał James. Co się stało? Od miesiący nie ma przecież między nimi żadnych napięć. Nie ma od chwili powrotu z wyspy.

Zamknął za sobą drzwi sypialni i zaczął rozluźniać krawat. Objął spojrzeniem żonę i poczuł, że jej pragnie. Pragnął jej właściwie stale. A przy tym nigdy nie napotykał na opór z jej strony. Kobieta, którą w niej rozbudził, okazała się równie namiętna, jak była kiedyś przyjacielska.

- Obawiam się, że musimy - odrzekł, całując Mattie w pólnagie plecy, bo tak jak on przebierała się właśnie po powrocie z miasta. Zdjął krawat i rzucił go na łóżko. W ślad za tym poszła marynarka.

- To jest jedna z największych imprez dobroczynnych w Londynie, a ja jestem w komitecie, więc rozumiesz... - Rozpiął koszulę, a potem ściągnął spodnie. - Wypada się tam pokazać.

Zaintrygował go wyraz rezygnacji w twarzy żony, gdy

usiadła przy lustrze i zaczęła odkręcać swoje słoiczki i flakony. Jak dotąd nie wzdragała się przed wspieraniem go w wystąpieniach publicznych, przeciwnie, pokazywała się z nim z entuzjazmem.

Można by powiedzieć, że ostatnio bardzo rozkwitła towarzysko. Dawny mól książkowy ustąpił kobiecie światowej, inaczej niż dotąd spożytkowującej swoje zalety intelektualne, poparte ujawnioną urodą, więcej - seksapilem.

Seksapil... James znowu spojrział ku żonie. Jaka piękna linia pleców, pomyślał, co za apetyczne ramiona.

Nagi, gotów do wzięcia prysznic, podszedł do niej. Pogłaskał jej włosy, jeszcze wilgotne, bo też się przed chwilą kąpała.

Spotkali się w lustrze oczami... Mattie wydała mu się jakby zmartwiona, ale czy to możliwe? Czy ma przed nim coś do ukrycia? Nie, jego żona nie jest przecież skryta. Chociaż i nie narzuca się z byle kłopotem - przyzwyczajona do radzenia sobie samodzielnie.

- Odpręż się. - Zaczął masować jej kark. - To naprawdę nic wielkiego, to spotkanie - mówił z uśmiechem.

Może była po prostu zmęczona? Miała dziś rzeczywiście sporo różnych zajęć.

- Urwiemy się wcześniej, chcesz? Wystarczy, jeśli się tam pokażemy - mówił dalej James. - Potem pojedziemy sobie na kolację do tej naszej restauracyjki.

Cały czas masował jej kark, ramiona... Nie, teraz już nie masował, lecz pieścił.

- Lepiej mi, naprawdę lepiej. - Uniosła twarz w górę.
- I cieszę się na tę kolację, czemu nie.

James pocałował ją w usta, a potem wsunął obie dłonie w miseczki stanika. Ach, jakie pełne, miłe, śliczne piersi. Ona przymknęła oczy i nakryła jego dłonie swoimi... Czuł, że jest jej przyjemnie i że odpowiada swoją potrzebą na jego potrzebę.

- Możemy się tam trochę również spóźnić - szepnął jej do ucha.

Oparła się o niego plecami.

- Jesteś pewien? - zamruczała.

- Absolutnie pewien. - Przyklęknął obok niej i zaczął całować jej uda i kolana. Po chwili wstał i pociągnął ją za sobą.

- Ale wszystko będzie na ciebie, dobrze? - powiedziała małym, figlarnym głosikiem, pozwalając się prowadzić.

Stanęli na środku pokoju; on ściągał z niej jak z dziecka koszulkę, potem pomagał odpiąć stanik. Zostawił jej tylko małe, czarne, koronkowe majteczki.

Pragnęła go. Pragnęła nie mniej, niż on jej pragnął.

Pieścili się, patrząc sobie w oczy. A potem czynili to z zamkniętymi oczami - lecz za to z otwartymi wszystkimi innymi zmysłami.

- Mattie. - James oderwał się na chwilę od żony. - Ty robisz ze mną chyba jakieś czary. Ja jeszcze nigdy

w życiu... - przerwał i przygarnął swój skarb z całą pasją.

Obracali się wolno wkoło siebie, niczym w jakimś rytualnym tańcu, aż wreszcie dotarli do łóżka. Przewrócili się na nie, a może to świat się przewrócił i zaczął się kołysać w jakimś dobroczynnym kataklizmie? James jednym ruchem ręki uwolnił Mattie od śmiesznej, koronkowej przepaski.

Połączyli się i kataklizm narastał, aż wszystko wybuchło! Wołali się głośno po imieniu, tak jakby można było się pogubić wśród rozpętanych żywiołów miłosnych. Potem leżeli cisi, wyczerpani, szczęśliwi i niewinni...

Zdaje się, że jest naprawdę późno, pomyślała Mattie, rozglądając się dokoła. Sala, w której się znalazła, pełna była bardzo bogatych ludzi oraz ich potencjalnej klienteli. Hałas wzrastał się z każdą chwilą.

- Nie chciałbym cię zostawiać samej - powiedział James, przyjmując od jednego z krążących kelnerów dwa kieliszki czegoś, co wyglądało na zwietrzałego szampa. - Taka jesteś śliczna... Ale obawiam się, że będę musiał. Przywitam się z paroma osobami, a innym dam dostęp do siebie. - Uśmiechnął się. - A za pół godziny, nie dalej, znajdę cię i wymkniemy się stąd, jak to mówią, po angielsku. Dobrze?

Jego oczy, pomyślała Mattie, gdy zniknął w tłumie, są takie... Zawsze są po miłości takie same: nie całkiem

z tego świata, lunatyczne. Czy i ja tak wyglądam? Przejrzała się w jednym z lusterek ozdobiących tę salę balową. Jak to James powiedział? „Taka jesteś śliczna”. No nie, to nieprawda, śliczną się na pewno nie jest. Lecz robi się, co można, aby wyglądać nieźle.

Sukienka bez rękawów, z rudawego jedwabiu, układała się na figurze naprawdę dobrze... Pochodziła jeszcze z tych zapasów garderoby, którą wmusiła w Mattie przewidująca Dawn.

Niestety, sukienki tej wkrótce nie da się włożyć.

I właśnie z tego powodu Mattie nie miała dziś chęci na żadne bale. Musi wreszcie powiedzieć Jamesowi prawdę: tę mianowicie, że jest w ciąży.

Jej ginekolog wszystko dzisiaj potwierdził. „Jest pani w odmiennym stanie co najmniej od trzech miesięcy”, oświadczył.

Trzy miesiące... No tak; mniej więcej kwartał temu wrócili z Barbados. To tam, może już pierwszego dnia, została zapłodniona. Kochali się przez miesiąc intensywnie, a ona długo zapewniała, że nic im nie grozi.

Już wtedy miała nieczyste sumienie, a teraz...

Rozejrzała się dokoła. Jakże denerwowali ją ci wszyscy hałaśliwi ludzie.

Oczywiście mąż poczuje się oszukany. Ona zaś nie zdobędzie się na żaden zabieg, na który jest już zresztą za późno. Jaka szkoda, że James tak jest uprzedzony do posiadania dzieci. Cóż - to są urazy z jego własnego dzieciństwa. Każdy wynosi z dzieciństwa jakieś urazy.

Oddając nietknięty kieliszek szampana mijającemu ją właśnie kelnerowi, Matilda pocieszała się, że zna przecież męża lepiej może niż on sam siebie. To miły człowiek, mówiła sobie, nieskłony do awantur, niezdolny nikogo świadomie skrzywdzić.

Za to zdolny do miłości.

Jej samej nie pokochał jeszcze, no cóż, czuła to. Lubił ją, szanował, przepadał za wspólnym seksem. Lecz nie bierze w tym udziału jego serce...

Ale to się zmieni, gdy przyjdzie na świat dziecko, które on niewątpliwie pokocha, obiecywała sobie. Czyż mógłby nie pokochać swojego dziecka?

Ruszyła wokół sali, od czasu do czasu uśmiechając się z daleka do jakichś znajomych. Zatrzymała się i spojrzała na zegarek. Za dwadzieścia minut James powinien się tutaj gdzieś znaleźć i wtedy wymkną się oboje. A podczas kolacji ona mu o wszystkim co trzeba powie.

- O, samotna jak widzę. A to pech.

Mattie obejrzała się. Za nią stała Fiona, ze złośliwym uśmiechem.

- Cóż to, Jimmie cię porzucił, znowu? - Słowa panny Campbell-Blair zabrzmiały trochę za głośno, jak na dwuosobową konwersację. Parę osób obejrzało się.

Czyżby ta damulka wiedziała o rejteradzie Jamesa do Hiszpanii, zastanowiła się Mattie. Ale jak mogłaby przeniknąć powody tamtej jego krótkiej podróży? Chyba że się w międzyczasie spotykali, i...

- Dzień dobry - pozdrowiła cicho Fionę. - Czy masz mi coś jeszcze do powiedzenia?

Panna Campbell obrzuciła Mattie taksującym spojrzeniem.

- Ładna sukienka, wysokie obcasy - pochwaliła. - Ale to za mało, aby być rzeczywiście piękną, prawda? - wróciła do swego złośliwego tonu. - James miał dotąd lepszy gust co do kobiet.

Mattie poczuła, że ma chęć dać tej babie w twarz. A to jędrza! Z nieznanych przyczyn zerwała narzeczeństwo z Jamesem, teraz zaś nie może ścierpieć widoku jakiegokolwiek innej kobiety u jego boku.

- Piękno...? - Mattie wzruszyła ramionami. - Co ty wiesz o prawdziwym pięknie, laleczko? Popukaj się swoją pustą główkę.

Uśmiech zaczął spelzać z ust Fiony. Jej oczy się zwięziły. Tupnęła nogą.

- Słuchaj, skarbie - wycedziła. - On cały czas kocha mnie, nie ciebie... A ja go wtedy odtrąciłam, wiesz dlaczego? Z jednego głupiego powodu, bo on twierdził, że nie chce mieć dzieci. Zagroził mi nawet - spojrzała na czubki swych pantofli - że się rozwiedziemy, gdybym próbowała go przechytrzyć...

Mattie poruszyła się niespokojnie. Poczowała nagle dziwną słabość w okolicach żołądka. Ta Fiona nie wygląda na typ macierzyński, ale kto ją wie, pomyślała. W każdym razie motywy, które przedstawia, brzmią wiarygodnie? I nawet dojmująco prawdziwie!

- No, ale - ciągnęła Fiona - przeszła mi już chęć na dzieci. I ja mu to powiem, bo on mnie cały czas kocha. I ja do niego wrócę. - Przerwała, sycąc się zmianami widocznymi w twarzy Mattie. - Przestaniesz być mi potrzebna, ty mądralo, ty szara Myszko... Widzisz, że znam twoje przezwisko? - Fiona wyprostowała się i zaplotła ręce na piersi.

Mattie obejrzała się, zrobiła pół kroku do tyłu i oparła się o ścianę. Coraz bardziej szumiało jej w głowie. Myśli zaczęły gwałtownie wirować. Czyż nie miała racji, posądzając męża, że nadal marzy o swej byłej kochance?

Tymczasem panna Campbell-Blair zaczęła się oddalać, i dokąd to: w stronę Jamesa, który pojawił się właśnie w pobliżu. Przechwyciła go, jak się wydało Mattie, i zaczęli o czymś rozmawiać. Stali bardzo blisko jedno drugiego; on nachylił głowę, aby tamtą lepiej słyszeć. Wydawali się sobą całkowicie pochłonięci, jakby świat na zewnątrz przestał istnieć. Wyraz oczu i ust Jamesa złagodniał, w półuśmiechu; Mattie dobrze знаła to zwłaszcza z chwil, gdy kochali się ze sobą.

Tylko że on jej przecież, swojej żony, nie kochał... To znaczy robił to ciałem, ale nie sercem i duszą. W sercu miał bez wątpienia cały czas swą byłą narzeczoną.

Mattie wzdrygnęła się widząc, że Fiona kładzie właśnie palce na ustach Jamesa, jakby czegoś od niego nie chciała usłyszeć... A może w innym celu? On zaś wyciągnął rękę i ujął dłoń panny Campbell. W tym momen-

cie ktoś tych dwoje zasłonił: przed Mattie stanął któryś z uczestników dobroczynnego party, zagadał do niej, po chwili podał jej także szklanekę z jakimś drinkiem.

Spróbowała wspiąć się na palce, spojrzeć mu ponad ramieniem, ale był za wysoki. I któż to w ogóle był? Twarz - niby znajoma, ale żadne nazwisko nie przychodziło jej do głowy. Zmuszona była podjąć jakąś zdawkową konwersację. Tymczasem ziemia paliła jej się pod nogami, tak to czuła.

- Dobry wieczór, Lester, niestety muszę ci porwać moją Mattie - odezwał się nagle James. Wyrósł jak spod ziemi. - Jedziemy z żoną na kolejne biznes-party - fabulował. - Zatem wybaczone. - Ujął Mattie pod łokieć.

Ależ on gładko kłamie, pomyślała. Trzeba się przed nim naprawdę mieć na baczności.

Wyszli na zewnątrz. Zaczynało właśnie powoli zmierzchać, ale wciąż jeszcze było jasno. Piękny, majowy wieczór... James uniósł rękę i zatrzymał przejeżdżającą taksówkę.

- Każ jechać do domu - powiedziała Mattie. - Nie mam już chęci na kolację.

- Dlaczego? Co się stało? - James wydawał się zaskoczony.

Wsiedli i ruszyli.

- Jestem zbyt zmęczona - wzruszyła ramionami, lokując się możliwie daleko od niego. Nic dobrego nie czeka ich tego wieczoru. Trzeba sobie wreszcie powiedzieć całą prawdę, ona jemu o ciąży, a on jej chyba o Fionie?

I niewykluczone, że final rozmowy dla nich obojga będzie dramatyczny.

- Ale co się właściwie stało. - Przysunął się do niej.
- Może się źle poczułaś?

Pewnie, że się źle czuła. W ogóle źle się czuła; obsadzona była przecież w złej roli. Być zastępczą kochanką w nieprawdziwym małżeństwie: czy to dobra rola? Być w dodatku kochanką niekochaną: przecież to klęska. Westchnęła.

- Nie... Jestem tylko zmęczona. Tak jak ci mówiłam.
- Odwróciła głowę. A potem, pod wpływem nagłego impulsu dodała: - Miło ci się rozmawiało z Fioną, prawda? Śliczna była dziś wieczorem... Wystrojona jakby specjalnie dla ciebie!

- Ach, o to ci chodzi - uśmiechnął się James.

Spojrzała na niego. Cóż on tak się uśmiecha? Dlaczego jest taki zadowolony? A teraz zaplata ręce za głowę i przeciąga się, skrywając ziewnięcie.

Dojeżdżali właśnie na Belgravie. Ledwie się zatrzymali, Mattie otwarła drzwiczki taksówki i nie czekając aż James zapłaci, wysiadła.

Weszła do domu. Przemierzając salon, spojrzała na kwiaty w wazonach i pomyślała o Barbadosie, o tamtych kwiatkach w ich sypialni. Poczwała, że bardzo drażnią ją te wszystkie bukiety.

Były niczym żywy znak klęski - klęski, która zaczęła się właśnie tam.

W parę chwil potem do domu wszedł on. Odnalazł

ją w salonie, znowu się uśmiechnął i zaczął zdejmować marynarkę. Jakże jej się wydał piękny, zwłaszcza teraz piękny, gdy za chwilę miała go być może na zawsze utracić.

Przymknęła oczy. Dlaczego utracić? Może jednak nie zostawi jej tylko dlatego, że nosi jego dziecko pod sercem. Zwłaszcza dlatego nie zostawi! Przecież tak nie postępują cywilizowani ludzie, odpowiedzialni mężczyźni!

- Wydajesz się blada, Matts - odezwał się, stając przy niej blisko. - Może kropelkę brandy?

Otworzyła oczy. Odmówiła ruchem głowy. Mąż patrzył na nią życzliwie, ale jakoś... bez zaangażowania. No właśnie. On jej nie kocha. I pewnie nie dowiedzą się już oboje, czy kiedykolwiek pokocha. Bo oto nadchodzi rozstanie.

Zadrżała.

- Czy kiedy oświadczyłeś się Fionie - zaczęła mówić - ostrzegałeś ją, że nie życzysz sobie mieć dzieci?

James przestał się uśmiechać. Przeczesał ręką włosy. Potem ruszył w stronę okna. Zaczął przez nie wyglądać.

- A właściwie dlaczego pytasz? - rzucił przez ramię. Odwrócił się i oparł o parapet. - Czy ona ci się teraz zwierza?... Chociaż wątpię - dodał półgłosem, jakby sam to sobie wyjaśniał.

- A jednak. Można by tak to nazwać.

- Uhm. - James poruszył brwiami.

- Zresztą mniejsza o Fionę. Idzie tutaj o mnie. - Mattie zrobiła krok w stronę sofy i usiadła. Poczwała, że to, co za

chwilę powie, bardzo ją osłabi, więc lepiej, żeby nie stała.

- O ciebie? - James oderwał się od okna. - W jakim sensie? Jeśli chcesz mnie namawiać na dziecko... - zaczął zgadywać i pokręcił głową. - Nie, nie zmieniłem w tej mierze swych poglądów.

- No właśnie - westchnęła. - No właśnie.

- Ale co „właśnie”? Dokładnie co?

Poczuła nagły przyływ sił. Wstała. Nie, nie będzie go błagała o zrozumienie ani nie będzie przepraszała. Człowiek musi mieć jakąś godność... Najlepiej zrobi, jeśli sama z nim zerwie... Wciąż powraca sytuacja, gdy dochodzi do takiego wniosku. Powinna była odejść od niego jeszcze przed ślubem!

- Rozwiódźmy się - powiedziała. - Złamałam twoje warunki. Jestem w ciąży. Dziś potwierdził to mój ginekolog.

James znieruchomiał. Wpatrywał się w nią, zmarszczywszy czoło. Wydawał się oszołomiony. Oboje milczeli dłuższą chwilę.

- To się stało tam, na wyspie - powiedziała cicho. On nadal się nie odzywał.

- No dobrze - zaplotła ramiona. - Rozumiem. A więc - jutro się wyprowadzam. I zostawiam cię z tym twoim dziecinny uporem skierowanym przeciw... dzieciom. A potem żęń się z Fioną, która kocha cię podobno z wzajemnością. Już ona postara się, żebyście nigdy nie mieli dzieci.!... Aha - dodała - i bądź uprzejmy przenieść się na dzisiejszą noc do swojej dawnej sypialni.

Odwróciła się, ruszając do wyjścia.

Gdybyż za nią zawołał... Gdyby poszedł za nią i o coś prosił - nie wiadomo, jak wtedy by się sprawy potoczyły.

Ale on nie zawołał i o nic nie poprosił.

Zanim przekroczyła próg, obejrzała się. Stał cały czas nieruchomy. Twardy i niemy jak głaz, pomyślała.

I poczuła, że nienawidzi go w tej chwili z taką samą siłą, z jaką przedtem go kochała.

Cicho zamknęła za sobą drzwi.

On nic nie mówi, bo wszystko zostało powiedziane, to jasne. I to ona odwaliła za niego całą przykrą robotę: nazwała wszystko, co było do nazwania, po imieniu.

Zatrzymała się. Oparła się o ścianę i zaczęła płakać.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Idąc po schodach na górę, Mattie zmieniła nagle zamiar.

Po co czekać do jutra? Jeśli zamierza się wyprowadzić, może to zrobić równie dobrze zaraz. Jej mężowi najwyraźniej dogadza propozycja rozwodu. Ich małżeństwo jest skończone.

Pani Briggs pojawi się jutro rano, zechce podać śniadanie, potem będzie pytała, kto zje lunch w domu, a kto nie. Mattie oczywiście nie będzie miała apetytu i przyjdzie się z tego tłumaczyć. A po co się tłumaczyć? Lepiej wcześniej zniknąć z horyzontu. Na zawsze.

Całe szczęście, że biedna, stara pani Briggs nie ma w tych dniach żadnego większego przyjęcia na głowie i wobec tego nie potrzebuje też pomocy. A zresztą!... Niech teraz Fiona jej pomaga. Fiona będzie zachwycona, obejmując rolę hostessy.

W sypialni Mattie szybko przejrzała zawartość szafy i komody. Do podróżnej torby na kółkach wrzuciła ile się da niezbędnych rzeczy. Po resztę zgłosi się kiedy indziej albo wcale.

Wyjrzała na korytarz... Cisza. Skradając się, prawie

jak złodziej, zeszła na dół. W chwilę potem była już na ulicy. Ruszyła przed siebie.

Po paru krokach zatrzymała się i obejrzała. Poprawiła torebkę na ramieniu. Może James uchyli drzwi, może zawoła? Może przeprosi ją za wszystko i... i zaczną być jednak rodziną? Dlaczego nie mieliby być zwykłą rodziną. Taką, jakich są miliony na świecie?

Nie, nikt nie woła. Westchnęła i zaczęła toczyć swój bagaż na kółkach, sama nie wiedząc, w którą stronę zmierzą.

James nigdy nie udawał, że ją kocha. Dlaczego miałyby to robić, skoro nie kocha i skoro jest ona dla niego tylko przyjemnym, wygodnym towarzystwem, kimś, kto dzieli z nim łóżko i zaspokaja jego męskie potrzeby?

Nic nie powiedział, gdy objawiła mu swą nowinę, rozpamiętywała Mattie, patrzył na nią tylko bez ruchu, milcząc, tak jak się spogląda na popsutą nagle rzecz, zbędną, nic nadającą się już do użytku.

Było prawie ciemno. Paliły się latarnie uliczne, wokół korytarzy krążyły ćmy. Noc była ciepła, maj oddychał mnóstwem woni. Z ogrodów odzywały się słowiki.

Nie wiedząc, jak i kiedy, znalazła się pod blokiem, w którym mieszkał ze swą nową żoną ojciec.

Gdzieś trzeba się jednak przespać, pomyślała zrozumiawszy, dokąd zaprowadziły ją nogi.

Ojciec był już w piżamie, jak zauważyła, gdy uchyliły się drzwi i padł snop światła z przedpokoju. Na pasiastej piżamie miał pikowaną bonżurkę. Na nogach zaś - mięk-

kie kapcie bez pięt. W jego twarzy znać było zaskoczenie.

- Czy mogłabym u ciebie przenocować? - zapytała.

Nie poznała własnego głosu, taki jej się wydał stłumiony, odległy. I zaraz minęła ojca, wlokąc za sobą torbę na kółkach. Zatrzymała się dopiero w dużym, prostokątnym living roomie.

W pomieszczeniu tym było coś z ducha dawnego Berrington House - zapewne wskutek nagromadzenia tu wielu mebli i bibelotów stamtąd pochodzących.

Oczywiście bywała tu już wcześniej, ale nigdy ze śladami łez na policzkach, sama, w nocy, niezapowiedziana, w balowym stroju i z bagażem turystycznym.

- Naturalnie, moje dziecko, nocuj, jeśli masz ochotę
- dreptał za nią ojciec. - Ale co się stało, co się stało?
- dopytywał się.

Obróciła się ku niemu. Pozwoliła, by torebka ześlizgnęła jej się z ramienia i spadła na podłogę.

- Opuściłam Jamesa - powiedziała.

Mówiąc to głośno poczuła, że pozwala koszmarowi tego wieczoru urealnić się, zaistnieć wobec świata. Dała mu teraz ostrość i jasność, które były dla niej prawie nie do zniesienia. Uniosła rękę do oczu.

- Nie udało nam się z Jimmiem. Nie mogło się udać - szepnęła.

No właśnie, jak miało się udać, gdy on nigdy nie przestał kochać Fiony?

Edward Trent odchrząknął.

- Mattie, a może byś usiadła? Po co tak cierpieć na stojąco? - Znów odchrząknął. - Zrobię ci kawy, chcesz? A może napijesz się czegoś mocniejszego?

Zignorowała te wszystkie propozycje, jakby nie były adresowane do niej. Wodziła dookoła zranionym spojrzeniem.

- A gdzie Emily? - zapytała. Lubiła swoją nową macochę. Od zawsze lubiła panią Flax, która zastępowała jej przez lata matkę.

- Położyła się wcześniej. - Ojciec obejrzał się na drzwi sypialni. - Zamierzaliśmy się wybrać jutro do Yorku. Wiesz, pobyć tam parę dni, pozwiedzać trochę. Ale to może poczekać, nie jest to takie ważne... Ważne jest to, co się dzieje z tobą!

- O, nie. - Nagle z całą determinacją, na jaką ją było stać, postanowiła wziąć się w garść. Jakie miała prawo zakłócać życie ojca i jego żony, wnosić do ich domu swoje rozterki i cierpienia? Sama musi sobie dać radę ze swymi kłopotami.

- Przenocuję tylko - powiedziała. - Nic więcej. - Schyliła się i podniosła torebkę. - A jutro poszukam sobie jakiegoś lokum... Nie musicie z mojego powodu zmieniać żadnych planów. Teraz zaś napiję się herbaty dodała. - Tobie, tato, też zrobić? Nie czekając na odpowiedź, ruszyła do kuchni. Ku swemu zdumieniu, poczuła przypływ energii; żałowała, że nie jest już rano i że nie może zaraz zacząć nowego życia, całkowicie własnego,

niezależnego od męża, od ojca, od nikogo.

Napełniła wodą czajnik elektryczny i nacisnęła klawisz. Sięgnęła po blaszane pudełko z „Earl Greyem”. Wypłukała porcelanowy imbryczek do zaparzania.

- Słuchaj, Matts - odezwał się od progu Edward Trent. - Nie musisz mówić, jeśli nie chcesz, co zaszło między tobą i Jamesem. - Odczekał chwilę. - Ale zadałbym ci jednak pewne pytanie. Być może niemądre. Czy on cię jakoś skrzywdził? Był nieuprzejmy?

- Nie, nie był - pokręciła głową. Jej ojciec miał na myśli zapewne krzywdę w sensie fizycznym... Rzeczywiście: pytanie nie było mądre. Oboje wiedzieli przecież, iż James nie był typem gwałtownika - wyjąwszy gwałtowne uczucie do Fiony, jakie prawdopodobnie żywił!

A czy był nieuprzejmy? Być może jest to nieuprzejme, gdy się kogoś nie kocha... Mattie uśmiechnęła się gorzko do siebie. Jej nie kochał - bo kocha inną. Co robić.

- Nie szło nam jakoś ze sobą, tato, już ci powiedziałam. - Podniosła oczy. - I nie przejmuj się mną za bardzo... Nie chciałabym też, żebyś z mego powodu popsuł swoje dobre stosunki z Jamesem.

Woda zagotowała się. Mattie sypnęła szczyptę „Earl Greya” do imbryczka. Zalała herbatę wrzątkiem. Otworzyła kredens, wyjęła dwie filiżanki. Sięgnęła do lodówki po mleko. Wszystkie te ruchy wykonywała prawie automatycznie.

Napełniła filiżanki i postawiła je na stole. Oboje z ojcem zasiedli. Było cicho. Dało się słyszeć tykanie starego zegara z kukułką.

Edward Trent upił mały łyk.

- No ale gdzież ty się teraz podziejesz, moje dziecko? Co z sobą poczniesz?

- Na początek zwrócę się do mojej agencji autorskiej - zaczęła improwizować Mattie. - Znów będę brała od nich jakieś prace... Zresztą, na razie nie brakuje mi pieniędzy.

- No a mieszkanie?

- Przecież w „Timesie” są setki ofert. Wystarczy jeden telefon. Czy dwa.

- I naprawdę dasz sobie radę sama?

Wzruszyła ramionami. Musi sobie dać. Musi kiedyś zacząć być naprawdę dorosła.

- Wiesz... - Edward spojrzał na zegar. - Co do Jamesa, to chyba ja pierwszy ostrzegałem cię przed nim. Dziwne on miewa gusty. Najpierw ta Fiona, jak jej tam, której się uczepił... Potem nieprzemyślany wypad do Hiszpanii... Ale kiedy wróciliście z Barbados - starszy pan poprawił się na krześle - wydawało się, że między wami wszystko jest w porządku. Prawdę mówiąc - uśmiechnął się - nigdy nie widziałem cię bardziej promieniejącej, Matts, niż wtedy.

Sięgnął przez stół i ujął jej ręce w swoje dłonie.

- Czy to się przestało liczyć? - zapytał. - Wiesz, w małżeństwie bywają też trudniejsze chwile. Może nie

przekreślaj wszystkiego zbyt pochopnie. Niektórym marzą się utopie bez skazy, w różnej skali, również te domowe. Ale utopia to zawsze tylko utopia... Mattie - zaczerpnął powietrza - przyrzeknij mi, że przemyślisz jeszcze raz swój krok.

Delikatnie uwolniła się z uścisku jego rąk. Wstała. Ojciec wydawał się taki stroskany. Naprawdę nie powinna go obciążać swoimi kłopotami.

- Dobrze, tato, pomyślę o tym - przyrzekła. Spróbowała zdobyć się na uśmiech. Co za szczęście, że nie powiedziała całej prawdy o sobie i o Jamesie. Z pewnością zaszkodziłoby to sercu ojca.

Wodził za nią teraz rozjaśnionym spojrzeniem. Prawdopodobnie sądził, że już pchnął swoją córkę na właściwą drogę.

- To co, będziemy szli spać? - zaczął się podnosić. - Może uda nam się uciec przed tą straszną kukułką - pokazał głową na zegar, na którym wskazówki zbliżały się właśnie do okrągłej godziny.

Mattie odstawiła filiżanki do zlewu.

- Kiedy wracacie z Yorku? - zapytała. Ojciec zastanowił się.

- Emily chciała, żebyśmy tam zostali do przyszłego piątku. Ale...

- No to dobrze. To w piątek wieczorem albo w sobotę rano zadzwonię do was i powiem, co udało mi się zdziałać. OK?

- W porządku. - Edward Trent poprawił pasek szla-

froka. - I pamiętaj, córeczko, że przyrzekłaś przemyśleć jeszcze swój krok.

Przemyśleć: dlaczego nie. Rzecz w tym, że z samego myślenia niekoniecznie muszą wynikać jakieś czyny. Choćby nie wiadomo ile myślała nad stosunkiem Jamesa do niej i do dziecka, nic z tego nie wyniknie. Była tego pewna.

Zapadła w płytki, nerwowy sen dopiero nad ranem. A już o szóstej obudził ją ruch w domu: Emily i ojciec szykowali się do drogi. Dzień zapowiadał się piękny; słońce mocno grzało przez szyby, mimo wczesnej pory.

Mattie ziewnęła. Potarła oczy. Potem przypomniała sobie zatroskaną twarz ojca z wczorajszego wieczoru. Nie była zadowolona z siebie. Stanowczo nie powinna była martwić staruszka! A dziś zapewne już i Emily o wszystkim wie. Obojgu może nie udać się wycieczka, gdy będą zaprzątnięci kłopotami córki marnotrawnej.

Zaczęła wstawać. Przemknęła się cicho do łazienki. Szybko wzięła prysznic. Przejrzała się w lustrze i wydała się sobie nienaturalnie blada. Natarła ręcznikiem frotowym policzki, żeby przydać sobie trochę rumieńców, zacząć wyglądać normalniej.

W pokoju rozpakowała torbę podróżną. Wyciągnęła białe dżinsy i żółtą koszulkę bez rękawów. Uznała, że to dobre rzeczy na gorący dzień, jaki się zapowiadał. W jej głowie przewijał się film z wczorajszych wydarzeń. Widziała Fionę, Jamesa, siebie w taksówce, a potem roz-

mowę w domu... Znieruchomiła postać męża. Zastanowiła się, czy nie padły z jej ust jakieś fałszywe słowa?

Film przewijał się dalej wstecz. No więc oczywiście nie powinna była w ogóle przyjmować oświadczeń Jamesa... I lepiej, żeby nie zaczął się seks między nimi. Ale co robić: od tak dawna kochała tego mężczyznę. Miłość odbiera rozsądek.

Włożyła na gołe stopy sandały. Jeszcze trochę potarła policzki, wyprostowała się, zrobiła dwa głębsze wdechy i już mogła iść między ludzi. Chwyciła za klamkę.

Jej ojciec wraz z Emily, oboje w szlafrokach, siedzieli przy stole kuchennym, z dzbankiem herbaty i filiżankami przed sobą.

- Dzień dobry - uśmiechnęła się do nich. - Piękne dziś słoneczko macie na podróż.

Emily podniosła się, podeszła do Mattie i objęła ją po macierzyńsku.

- Jakże ci współczuję. - Ucałowała ją w policzek.
-Edward o wszystkim mi opowiedział... I nie jestem pewna, czy ja i on powinniśmy cię opuszczać w biedzie? Może lepiej odłożymy naszą wycieczkę?

- Absolutnie nie - energicznie zaprotestowała Matilda. - Ja sobie tutaj całkowicie dam radę. Rozmawialiśmy o tym przecież z tatą. Czuję się dziś o wiele spokojniejsza. - Spojrzała w stronę ojca.

Edward Trent z aprobatą pokiwał głową.

- I mnie się taka wydajesz. Wróciły ci nawet trochę rumieńce.

- No właśnie - skwapliwie podchwyciła Mattie.

- Napij się z nami herbaty - zachęciła Emily. Nie czekając na odpowiedź, sięgnęła do kredensu po trzecią filiżankę.

Mattie przysunęła sobie krzesło.

- Postanowiłam rzeczywiście porozmawiać z Jamesem - powiedziała. - Dziś niedziela, więc nie pojedzie do biura... Wybiorę się na Belgravia zaraz po waszym odjeździe.

Emily popatrzyła na Edwarda z pytaniem w oczach.

- Przed zaśnięciem sporo rozmyślałam - mówiła dalej Mattie - i doszłam do wniosku, że tata ma bez wątpienia rację. Małżeństwo to nie jakaś rajska utopia. Lepiej traktować je w sposób realistyczny...

- Bardzo mądrze, moje dziecko, bardzo mądrze.

-Edward Trent, tak jak wczoraj, ujął ponad stołem rękę córki w swoje dłonie.

Gdybyż mógł znać całą prawdę, pomyślała Mattie, gdyby mogła ją wyjawić im obojgu z Emily... A jednak, choć jej mąż wydaje się tak mało obiecujący w sprawie miłości do niej i do ich dziecka - naprawdę pójdzie z nim porozmawiać. Rzeczywiście to postanowiła!

- To co... - odezwała się. - Może ja teraz zrobię śniadanie, a wy pójdziecie się ubrać i spakować? Porzućcie wahania, jedźcie do Yorku! Nie psujcie sobie wakacji z mego powodu.

Oboje starsi państwo, z pewnym ociąganiem, ruszyli w swych piżamach do wyjścia. Mattie zaś otworzyła lodówkę, wyjęła jajka i bekon. Sięgnęła po chleb do spiżarki. Poszukała pomidorów i szczypiorku. Nastawiła czajnik z wodą na nową herbatę.

Słońce było coraz jaskrawsze i w Mattie było też coraz jaśniej. Może ten dzień przyniesie co dobrego? Nieświadomie zaczęła podśpiewywać.

Piętnastominutowy spacer wydawał się trwać wieczność. Próbowwała nie spieszyć się wewnątrz, ale co zrobić, gdy wyobraźnia jest taka szybka? A co będzie, gdy go nie zastanie w domu? Bo może jednak pojechał do biura, przecież to jednak pracoholik.

Albo będzie jeszcze gorzej: wyjechał sobie na weekend... Dlaczego miałby siedzieć w Londynie? Pogoda jest taka piękna... No i to jest dziwne, że nie zadzwonił do ojca. Nie zatroszczył się o jej zniknięcie... A domyślał się na pewno, że poszła nocować do starszych państwa, tu blisko. Przecież widział, że jej sypialnia jest pusta...

Spojrzała na zegarek. Dochodziła dziesiąta. Zanim ojciec i pani Flax spakowali się, zanim zjedli śniadanie, zrobiła się ósma trzydzieści. Starsi państwo wyruszyli o dziewiątej. Potem Mattie sprzątała w kuchni i w pokoju, w którym spędziła noc. Następnie przez kwadrans mobilizowała się wewnątrz. Wyszła za dwadzieścia dziesiąta.

Punktualnie o dziesiątej stanęła pod drzwiami Jamesa.

Zajrzała do torebki i dopiero teraz zorientowała się, że nie ma kluczy. Szkoda! Pukać do własnego domu to jakby od razu znaleźć się w pozycji petenta... Byłoby się na samym wstępie przegranym.

Zwlekała dobre dwie minuty, nim nacisnęła dzwonek. Miała nadzieję, że może pani Briggs jest czymś zajęta i że otworzy jej sam James. Spróbowała ułożyć usta do jakiegoś uśmiechu.

Szczęknęła zasuwa.

Nie, to nie James jej otworzył. Ani nie pani Briggs.

Na progu stała, we własnej osobie, Fiona Campbell-Blair. Mattie poczuła bolesny skurcz w sercu.

- A, to ty - skonstatowała Fiona. - Czego chcesz? Wewnętrzny skurcz objął gardło i Mattie nie była w stanie nic z siebie wydusić. W jej głowie obracała się tylko jedna myśl: A więc to naprawdę koniec, a więc to koniec, koniec.

- No widzisz. - Fiona oparła się o framugę. - Mówiłam ci, że James mnie kocha, i nawzajem... A ty już nie masz tu czego szukać! - Wzruszyła ramionami. - W sprawie rozwodowej zaś skontaktuje się z tobą adwokat Jimmiego... Rzeczy odeślemy ci na adres ojca.

Mattie nie mogła nie zarejestrować wyzywającego stroju swej rywalki, skórzanej minispódniczki, ujawniającej piękne uda, i wetkniętej w nią obcisłej bluzki, pod którą przeżyły się popisowe piersi, oczywiście bez stanika.

- To co, panno Trent - uśmiechnęła się szyderczo

Fiona. - Pożegnamy się chyba, co? - Odczekała chwilę, potem cofnęła się o krok i przed nosem wciąż milczącej Mattie zatrzasnęła drzwi.

Świeciło słońce, po niebie płynęły drobne, pierzaste obłoczki, śpiewały ptaki. Piękny był świat... Podczas gdy świat Mattie rozpadał się właśnie w kawałki.

Odwróciła się i zaczęła iść przed siebie. Kimże teraz jest, co z nią będzie?... Będzie panną z dzieckiem, pomyślała. Ależ się uwikłała!

Właściwie jak to możliwe, że kochała tyle lat mężczyznę, który okazał się zwyczajnie podły?

W istocie nie знаła go wcale... Lub znała tylko poprzez swoją miłość, przez marzenia i wyobrażenia.

Miłość jest ślepa, otóż to. Miłość jest ślepa.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Sześć miesięcy później

Mattie przysiadła na skraju łóżka szpitalnego, w ciepłym płaszczu zarzuconym na suknię ciążową, w której tu przybyła. Lada chwila mieli ją stąd odebrać ojciec i Emily. To wskutek ich starań dostała w klinice osobny pokój, za co była im serdecznie wdzięczna.

Trzymała w ramionach swą małą dziewczynkę i czule do niej przemawiała.

- Jesteś moim dzieciątkiem bożonarodzeniowym, wiesz? Może chciałabyś się nazywać Noelle?... Co, nie mamy ochoty? - Uśmiechnęła się. - Zbyt dosłowne... - Pokołysała maleńką, potem podeszła do okna.

Nie, jeszcze ich nie ma. Znów przysiadła na łóżku.

- Dobrze, zapomnijmy o Noelle. Zresztą Boże Narodzenie będzie dopiero jutro. - Popatrzyła w niebieskie oczka, ucałowała różowe policzki. - Aleś ty śliczna. Może cię nazwać Róża? Nie: lepsza będzie Chloe. Pewnego razu Dafnis i Chloe bardzo się kochali...

Mattie westchnęła. Dawno temu czytała piękną opo-

wieść Longosa o Dafhisie i Chloe i marzyła wówczas, że też spotka w życiu swojego Dafnisa.

- I wiesz co...? - Znów pokołysała swą dziewczynkę. - Kiedy byłam małą, zawsze mi było żal takich dzieci, którym urodziny wypadały właśnie w Boże Narodzenie. Bo w ten sposób dostawały prezenty tylko raz w roku... Ale nie widzę powodu, żebyś ty nie miała mieć podwójnych urodzin - raz prawdziwych, a raz... oficjalnych. Jak królowa brytyjska!

Dziecko usnęło. Mattie znowu je ucałowała. Ledwie czterdzieści osiem godzin od chwili przyjścia na świat, pomyślała, a już to wyraźne podobieństwo do tatusia... No, no.

James. Przez ostatnie pół roku próbowała nie myśleć o nim. Był to jedyny sposób na zachowanie jakiejś takiej równowagi ducha.

Wtedy, na wiosnę, odprawiona z kwitkiem z Belgravii, zaszyła się na prowincji, w małym domku wiejskim. Kiedy ojciec i Emily wrócili z Yorku, wyjawiała im wreszcie, co się naprawdę stało: że jest w ciąży i że mąż nie chce tego zaakceptować. Mało tego, że Jimmie i Fiona zeszli się ze sobą ponownie.

Starsi państwo byli bardzo przybici; ojciec Mattie gotów był nawet zerwać ze swym byłym partnerem wszelkie stosunki. Sama Mattie, wszedłszy na drogę rozwojową, porozumiewała się z byłym, jak przywykła o nim myśleć, jedynie przez prawników.

Teraz jednak, gdy urodziło się ich dziecko, myśli

o Jimmiem wróciły do niej ze zdwojoną siłą... Żal jej było córeczki, która nie będzie miała ojca - ale i żal ojca, który tak niemądrze wyrzekł się wspaniałego daru, ślicznej małej istotki, najoczywiściej stworzonej do kochania. O sobie Mattie w tym wszystkim najmniej myślała.

Chociaż - dopadało ją nieraz uczucie osamotnienia, przekonanie o niesprawiedliwym potraktowaniu przez los, żal za utraconym rajem...

Marszcząc się nieco, spojrzała na okrągły zegar ścienny. Była za pięć dziesiąta. No tak, pospieszyła się nieco z tymi przygotowaniami do wyjścia. Ojciec i Emily przyrzekli być o dziesiątej, więc niepotrzebnie już przed kwadransem włożyła płaszcz. Poczowała, że zaczyna jej być gorąco i porozpinała się.

Jacy oni dobrzy dla niej!... Emily powiedziała przez telefon, że w jej domku wiejskim wszystko jest jak w pudełeczku, ogrzane i posprzątane, że będzie choinka i że Edward zadbał już o właściwe zaopatrzenie lodówki, w której nie zabraknie oczywiście świątecznego indyka.

To ojciec przywiózł ją tu, do szpitala w Dorchester, gdy przyszedł jej czas. Prawdopodobnie poradziłaby sobie sama, ale to takie przyjemne, gdy ktoś się nami opiekuje. Dobrze jest czuć, że się ma rodzinę, zwłaszcza około Bożego Narodzenia. Rodzina: ojciec, Emily, mała Chloe i ona sama... Całkiem wystarczająca gromadka.

No a James?

Mattie westchnęła. Trudno, mniejsza z nim! Wkrótce odwyknie do reszty od myślenia o swym byłym. Kiedy

wróci do domku na obrzeżach Dorset, w którym zdążyła się zresztą zakochać, będzie miała wystarczająco wiele zajęć związanych z książkami i ze swym maleństwem, aby nie myśleć o niczym więcej.

Znów spojrzała na zegar. Była minuta po dziesiątej. I w tejże chwili poruszyła się klamka u drzwi. Zaraz potem do pokoju wszedł jednak nie Edward Trent ze swą żoną, a - wielkie nieba! - James Carter, poprzedzany przez ładną pielęgniarkę.

Mattie wydało się nagle, że śni. I jak to bywa w trudnych snach - zaczęła gdzieś w nieskończoność spadać. Odruchowo przycisnęła dziecko do piersi. Mrugała oczami, próbując opanować zawrót głowy.

James był ciągle tym samym pięknym mężczyzną i widać było, że pielęgniarka jest pod jego urokiem. Zaczęła szczebiotać, niejako w jego imieniu, ponieważ on sam milczał.

- Dzień dobry, pani Carter, mamy dla pani niespodziankę. Pojawił się pan Carter i to chyba on panią odbierze... Czy to nie cudowne?

James był pochmurny. Zresztą i ubrany był w jakiś groźny strój, czarną skórzaną kurtkę harleyowców, jakby tu przyjechał na motorze, wąskie czarne dżinsy; Mattie pojęła nagle, że zmienił swój styl, odkąd jest z Fioną. Spoglądał też na nią i na dziecko bez cienia uśmiechu.

On milczał, i ona także. Jakże miałyby go zresztą przy tej panience zapytać, po co na przykład przybył? Nie

kochał jej i nie kochał ich dziecka... A więc co to za nagłe odwiedziny?

Tymczasem siostrzyczka dalej szczebiotała:

- Trzeba dobrze opatulić dzidziusia, bo za oknem mróz. Mamy porządną zimę w tym roku.

Mattie zaczęła się podnosić, usiłując puścić mimo uszu różne klimatyczne uwagi siostry. Czowała, że nogi ma jak z waty i że właściwie nie wie, co dalej. Dlaczego nie pojawili się ojciec i Emily?

Pielęgniarka wypatrzyła jej małą walizeczkę obok łóżka, schyliła się i wręczyła ją Jamesowi.

- A jak państwo nazwą swoją córeczkę? - uśmiechnęła się. - Macie już jakieś imię?

- Chloe - odpowiedziała szybko Mattie, sama zaskoczona stanowczością tonu, jakiego użyła. Spojrzała na Jamesa, lecz on starał się unikać jej wzroku.

Unik ten, jako oznaka defensywy, dziwnie dodał jej sił. Dziecko jest oczywiście ich wspólne - ale niech on sobie nie wyobraża, że postępując z nią tak jak dotąd, zapracował na więcej praw do córki, niż ewentualnie przyzna mu sąd. Zresztą, on przecież wcale nie chciał leż dziewczynki!

Pielęgniarka otworzyła drzwi.

- Proszę się teraz oszczędzać, pani Carter - powiedziała. - Dużo wypoczywać. A gdyby były jakieś kłopoty z dzieckiem, proszę od razu dzwonić do naszej położnej... Która i tak w najbliższych dniach panią odwiedzi.

Siostrzyczka paplała jeszcze przez chwilę, odprowadzając ich do holu recepcyjnego. Tam pożegnała się i znikła, co Matilda przyjęła z dużą ulgą.

- No, chodźmy - odezwał się wreszcie James, ujmując żonę pod łokieć i próbując nią posterować w stronę wyjścia.

- Zaraz, zaraz - zaprotestowała. - Ma po mnie przyjechać ojciec z Emily... A ty co właściwie tutaj robisz, chciałabym zapytać?

- Co robię... - zastanowił się jakby, odwracając głowę.

- No właśnie, co? - powtórzyła. - Wydaje mi się, że tracisz czas. Ja się z tobą nigdzie nie wybieram.

- Ale ojciec wcale po ciebie nie przyjedzie - spojrzał na nią.

- Jak to nie przyjedzie?

- Edward zgodził się, żeby to ja cię odwiózł do domu.

- Zgodził się? Do domu? - W oczach Mattie błysnęło zdumienie i zaraz potem łzy. Chwilowe wrażenie, że góruje nad mężem, znikło. Znowu poczuła się zdana na jego łaskę...

No a ojciec, jakże mógł ją tak zdradzić! I co, i teraz ma pojechać do Londynu, na Belgravie? I tam spotkać się pewnie z Fioną? O nie, przecież to jakiś koszmar!

Otarła oczy. Podeszła do rzędu foteli i usiadła.

- Nie jadę do Londynu - rzuciła. - Co to, to nie. - Przytuliła Chloe do piersi. - I w ogóle przestań nas dręczyć... Po co tu właściwie przyjechałeś?

- Żeby cię odwiedzić do domu. - James usiadł obok niej. - Ale wcale nie do Londynu, tylko tutaj blisko, do tego gniazdko, które sobie uwiłaś - uśmiechnął się krzywo.

- O! - podniosła głowę. - Pojedziemy do Dorset?

- Im prędzej ruszymy - wstał - tym prędzej tam będziemy.

Zastanowiła się.

- No dobrze - powiedziała z ociąganiem. - Ale co dalej? Do czego ty, James, właściwie zmierzasz?

Nie odpowiedział. Pomógł jej się podnieść. Ruszyli do wyjścia.

Na zewnątrz było rzeczywiście zimno. Sypał drobny śnieżek i wiał porywisty wiatr. Mattie wzdrygnęła się. Przytuliła Chloe, która zakwiliła.

- I gdzie ten twój samochód? - rozejrzała się dokoła. - Dziecko mi zmarznie.

- Spokojnie Mattie, stoi tutaj - wskazał głową. - Nie poznasz? Dobry, stary jaguar.

Rzeczywiście. Niski jaguar skrył się nieco za ambulansem szpitalnym, dlatego można go było przeoczyć.

Podeszli do auta; James otworzył tylne drzwi i pomógł Mattie wsiąść. Jej sakwojaż umieścił na siedzeniu obok siebie. Zanim uruchomił silnik, odwrócił się jeszcze i podał żonie ciepły pled, który widać specjalnie ze sobą przywiózł. Ona bez słowa otuliła nim dziecko.

Ruszyli. Wkrótce zabudowania niewielkiego Dorchester zostały za nimi.

- Nie jedź za szybko - poprosiła. Spojrzenia jej i męża spotkały się w lusterku wstecznym. - A więc to ojciec powiedział ci, gdzie jestem? - zapytała.

Wciąż jeszcze przeżywała uczucie zdrady ze strony starszych państwa. Przyrzekali nikomu nie wyjawiać, a już zwłaszcza Jamesowi, adresu jej wiejskiej kryjówki.

- To Emily - odpowiedział. - Ale zapewne przy aprobacie Edwarda. Zresztą - odwrócił się na chwilę - ja i tak od początku wiedziałem, gdzie jesteś.

Zamilkł.

Po chwili znów spotkali się oczami w lusterku wstecznym.

- Wiedziałaś... - Mattie zawiesiła głos. - No to dlaczego nie pomyślałaś o tym, żeby mnie odwiedzić?

Zwolnił przed skretem w wąską alejkę wiejską.

- Nie pomyślałem?... Pomyślałem! Sto razy o tym myślałem. Ale ponieważ nie odpowiadałaś na moje listy, nie byłem pewien, czy chcesz mnie widzieć. Co prawda wysyłałem te listy na adres Edwarda - znów obejrzał się w tył. - Bałem się, że ty mogłabyś je wyrzucać, nie czytając. - Wzruszył ramionami. - Edward twierdzi, że wszystko ci przekazał... A przekazał? - James popatrzył w lusterko.

Nie odpowiedziała. Odchyliła głowę na oparcie fotela. Teraz nie pora, aby mu te rzeczy wyjaśniać. Owszem, ojciec przywiózł jej pierwsze dwa listy. I prawdą jest również, że oba, nieprzeczytane, rzuciła w ogień. Zapowiedziała wtedy, iż nie życzy sobie następnych. Odcina-

jąc się zdecydowanie od przeszłości, ratowała swą równowagę psychiczną

Spojrzała w dół ku uśpionej Chloe. Uśmiechnęła się do niej. Dlaczego nie miałyby wystarczyć sobie tylko we dwie? Przybywa w świecie rodzin bez ojca; nie są to czasy wiktoriańskie, gdy samotna matka wydawała się tym samym, co „kobieta upadła”.

Zerknęła w lusterko. James skupiony był na zakrętach, które pokonywał w pagórkowatym terenie. Mattie spróbowała sobie wyobrazić, że jedzie z kimś całkiem nieznanym, obojętnym, że wiezie ją po prostu taksówkarz. O, tak było najlepiej. Jaki spokój w sercu...

Za chwile będą z Chloe u siebie. Zamkną za sobą drzwi, odcinając się od wszelkich rozterek i od groźnych żywiołów; będzie im ciepło i bezpiecznie.

- No, to jesteśmy na miejscu. - James zaczął zawracać przed małym klinkierowym domkiem, krytym nową strzechą. Zaparkował swego jaguara tuż obok starego forda Mattie, grata pamiętającego lata chyba jeszcze osiemdziesiąte.

Nacisnęła klamkę drzwiczek.

- Cóż, dziękuję ci za podwiezienie... Poczekaj jeszcze chwilę, muszę się gdzieś dogrzebać swoich kluczy.

Położyła obok siebie ostrożnie Chloe i otworzyła torebkę. Po chwili dodała, starając się użyć lekkiego tonu:

Nie zapraszam na herbatę, bo na pewno spieszysz się do Fiony.

James obrócił się ku niej całym ciałem.

- Wiesz co, nie szukaj tych kluczy. Ja mam drugi komplet. I nie spieszę się do Fiony.

Szybko podniosła głowę.

- Ty masz klucze?

- Tak, dał mi je wczoraj Edward. I powiem więcej, spędziliśmy tu we trójkę z nim i z Emily cały wieczór, wyjaśniając sobie to i owo. A potem - James uśmiechnął się krzywo - spałem w twoim łóżku, Matts. Dziś też chciałbym tu nocować, jeśli pozwolisz, choć niekoniecznie w twoim łóżku. Mamy sobie wiele do powiedzenia. Rzeczy nie wyglądają tak, jak sobie może wyobrażasz. Prawda jest dużo bardziej skomplikowana.

RS

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Mattie była pod wrażeniem słów Jamesa. O jakiej to prawdzie mają porozmawiać?

Weszli do domu. Jakże przytulne wydało się Mattie jego wnętrze! Na kominku palił się nawet ogień. Rozpalił go chyba James, zanim stąd wyruszył do Dorchester?

Przypatrywała się, jak teraz ostrożnie odstawia ekran, zabezpieczający drwa przed wypadnięciem. Potem zdjął swoją skórzaną kurtkę i powiesił ją na haczyku przy małych kręconych schodkach, prowadzących na poddasze.

Jego obecność absorbowwała ją i niepokoiła. Wyobrażała sobie, że wróci do bezpiecznego gniazdka, należącego tylko do niej. Tymczasem są tutaj we dwoje, nie: we troje. Właściwie na chwilę zaistniał jakiś pozór rodziny... Szkoda, że to tylko pozór.

- No i o czym będziemy rozmawiać? - odezwała się niepewnie. - Po co tak naprawdę przyjechałeś?

- Przyjechałem, bo potrzebujesz pomocy - odpowiedział szybko. Spojrzał na nią i dodał: - Siadaj, Mattie. Wyglądasz na dosyć osłabioną.

Czy naprawdę tak wyglądała? A zresztą, to nie jego

sprawa. Kiedy była pora na zajmowanie się jej losem, odwrócił się od niej. Teraz zaś przestał już być niezbędny.

- O czym chcesz rozmawiać? - powtórzyła swe pytanie. - Jaką to skomplikowaną prawdę chcesz mi wyjaśnić? Czy jest coś, czego nie wiedzą jeszcze nasi adwokaci?

- Wiesz co? - powiedział James. - Porozmawiajmy może o tym wszystkim jutro czy pojutrze, jak dojdiesz do siebie po szpitalu. Wypocznij najpierw, nabierz sił... Ta siostra doradzała ci, żebyś teraz dużo wypoczywała. Prawda?

Wypocząć!... Nie takie to proste, gdy on tutaj jest. Czyżby tego nie rozumiał? Mattie westchnęła. Zamiast się odprężyć i tylko zajmować dzieckiem, będzie musiała walczyć ze wspomnieniami. Przykra perspektywa.

Właściwie powinna by go stąd wyprosić, ale... jak to zrobić? Na żadną grubszą awanturę nie miała chęci ani siły. No i jest jednak jakaś obiecująca tajemnica w tym, że ojciec i Emily przyjęli tutaj Jamesa, ugościli, a w końcu wręczyli mu klucze.

Zbudziła się malutka Chloe. Zaczęła kwilić i rozkopywać kocyk, w który była owinięta. Jeszcze chwila, a głośno się rozpłacze. Pora ją przewinąć i nakarmić, pomyślała Mattie.

- Czy mógłbyś ją przez chwilę potrzymać? - poprosiła Jamesa. - Z tego wszystkiego nie zdjęłam nawet płaszcza - spostrzegła się. Nie czekając na odpowiedź uczyniła ruch w kierunku męża, ale ku jej zaskoczeniu on nie ruszył się z miejsca.

- Połóż ją na kanapie - rzekł jej tylko.

Poczuła skurcz serca. Oto jak ojciec Chloe traktuje swoje dziecko. A przed chwilą mówił coś, że chce być pomocny...

Mattie ułożyła Chloe na obitej tanim perkalem sofie, którą przyjęła tu z dobrodziejstwem inwentarza, wynajmując dom. Szybko zrzuciła płaszcz, obłożyła poduszkami dziecko, żeby nie spadło, i zaczęła przygotowywać pieluszki, zasypkę i oliwkę. Chloe zdążyła się tymczasem na dobre rozkrzyczeć.

- Pójdę do kuchni - odezwał się James. - Zrobię nam może coś gorącego do wypicia.

Wyszedł.

Mattie przewinęła swoją dziewczynkę, a potem umieściła się w rogu kanapy i przystąpiła do karmienia. Z czułością patrzyła na Chloe, która łapczywie szukała sutki, a gdy ją znalazła, przyssała się do niej z wyrazem absolutnego szczęścia na malutkiej buzi.

Zadźwięczały filiżanki; to James wracał. Mattie przeniosła na niego wzrok pełen macierzyńskiej tkliwości, co znów najwyraźniej nie spodobało mu się, bo w odpowiedzi spojrzał chmurnie, prawie wrogo.

- Herbata - powiedział tylko, umieszczając filiżanki na podręcznym stoliku. Sam nie usiadł przy żonie; podszedł do okna, wyjrzał, potem niezdecydowanie pospacerował jeszcze po pokoju. Następnie, rezygnując z „Earl Greya”, sięgnął po kurtkę.

- Mam parę spraw do załatwienia - powiedział. I wyszedł.

Mattie zrozumiała, że macierzyństwo jej przyprawia go co najmniej o zamęt uczuć. Coś się w nim dobrego odezwało, bo jednak przyjechał tutaj i chce jej niby „pomagać”, zarazem jego kompleks antydziecinny jest tak silny, że bierze górę. I oto są skutki.

Poczuła ulgę, gdy usłyszała warkot jaguara. Najlepiej by było, żeby może wcale nie wracał. Cóż to za chimeryczna natura, ten jej mąż. Czy on nie zdaje sobie sprawy z tego, jak ją rani?... No tak, ale ja się daję ranić, pomyślała Matilda. Ciągłe pozwalam mu wracać, w ten czy w inny sposób. Co gorsza, pozwolili mu również wrócić także ojciec i Emily. Dlaczego wszyscy jesteśmy tak niebывale podatni na urok tego chwiejnego czarusa?

- A tymczasem życie płynie dalej - powiedziała do siebie półgłosem Mattie, zamykając drzwi do pokoiku, w którym ułożyła do snu swój skarb. - Płynie i będzie płynęło, i damy sobie obie radę, prawda, maleńka?

Ostatnie sześć miesięcy dowiodło, że mąż nie jest jej koniecznie potrzebny do szczęścia. Owszem, zdarzały się gorsze chwile, gdy dręczyły ją wspomnienia, gdy doskwierała samotność albo różne pospolite rzeczy stawiały opór. Niełatwo na przykład wymienić bezpiecznik temu, kto tego nigdy nie robił, czy poradzić sobie z komputerem, co się zawiesił. Jednak Mattie, która dość długo sądziła, że ma do tych wszystkich rzeczy dwie lewe ręce, o dziwo, pod presją konieczności, umiała zawsze znaleźć drogę wyjścia z kłopotu.

I teraz też będzie sobie radziła. Wstała z kanapy i zanosła Chloe do jej pokoiku. Otuliła dziecko i ułożyła je do snu. Potem pomyślała, że warto by nakarmić samą siebie, bo jest już przecież pora lunchu.

Najpierw się jednak przebierzemy, postanowiła. Ruszyła na górę do sypialni. Suknia ciążowa jest już niepotrzebna; figura wraca do normy. Zrzuciła z siebie workowaty łach, wdziewając luźną wełnianą bluzę i do tego legginsy, dobrze opinające brzuch i talię.

Zaglądając do lustra, spostrzegła kątem oka świeżo powleczone pościel. Obejrzała się: pewnie to zasługa Jamesa, który tu wczoraj nocował. Poczowała rodzaj wdzięczności, bo nie miałyby wcale ochoty spać pod czymś i na czymś, co pachnie mężczyzną. Naprawdę nie było jej to teraz w głowie. A już zwłaszcza nie miałyby chęci na nic, co pachnie jej byłym mężem.

Zeszła na dół. W kuchni zrobiła sobie kilka kanapek z pasztetem. I co jeszcze? Może jakieś jajko? Może sałatka z zielonych pomidorów? Trzeba się porządnie odżywiać, kiedy się jest samemu żywicielem.

Rozejrzała się za herbatą. No tak, ta w pokoju pewnie już wystygła. Warto będzie zrobić nową.

Po lunchu Mattie wyciągnęła się na kanapie z książką, dopiero teraz odprężając się naprawdę, smakując bezpieczeństwo swego gniazdka, lecz i nasłuchując, co drugą stronicę, czy nie popłakuje mała Chloe albo czy nie zawarczy na podjeździe samochód Jamesa.

Chloe rzeczywiście wkrótce zapłakała, obudzona,

i zaczęło się od nowa przewijanie i karmienie. Potem przyszła pora na różne przepierki i prasowania, następnie zaś na porcję lektur z samouczków dla młodych matek, których Mattie sporo nagromadziła.

Okolo piątej poczuła się zmęczona. Zanadto znużona, aby pomyśleć teraz o jakimś obiedzie dla siebie. Dorzuciła dREW do kominka, usiadła na sofie i wpatrzyła się w ogień. Pozwoliła płynąć myślom, z których jedne były jasne, jak te płomyki przed nią, inne zaś szare jak popiół.

Czy naprawdę da sobie radę w życiu sama? A co będzie, jeśli Chloe na przykład zachoruje? Czy na podstawie swoich samouczków będzie umiała odróżnić krzyk dziecka, które jest głodne, od płaczu spowodowanego bólem? Co prawda ma ją zacząć odwiedzać i doksztalcać położna ze szpitala w Dorchester.

Odchyliła głowę na oparcie kanapy. Poczowała się senna. Za oknami była już noc; zresztą Mattie domyślała się jej tylko, bo wcześniej pozamykała wszystkie okiennice. Próbowwała zgadnąć, co rcbi teraz ojciec i Emily; jaka szkoda, że ich tu nie ma. Z nimi byłoby jej tutaj różniej.

O czym staruszkowie rozmawiali wczoraj z Jamesem? Jak ich przekonał do siebie? Chcieli na pewno dobrze, mieli nadzieję, że pęknięte małżeństwo da się naprawić... Czy nie przeniknęli jeszcze kapryśnej natury Jimmiego? To dziwne, bo ojciec na przykład zawsze twierdził, że zna na wylot swego byłego partnera...

Byłby dziś chyba w kłopotcie, obserwując scenę przed południem. Zięć powodowany wstrętem do swego dziecka i do jego matki wybiega z domu, nie dopiwszy herbaty, i pędzi swym jaguarem do Londynu, do kochanki!

Bo niewątpliwie tam właśnie Jimmie pojechał.

Mattie westchnęła. Spojrzała na zegar nad kominkiem; była piąta trzydzieści. Znów odchyliła głowę na oparcie kanapy. Zaczęła drzemać. Nie usłyszała, że ktoś wkłada klucz do zamka; zbudził ją dopiero ruch w przedsionku i skrzypnięcie drzwi prowadzących do izby. Poderwała się przestraszona.

- To tylko ja - uspokoił ją ruchem ręki James. -I przepraszam za spóźnienie. - Zaczął zdejmować z siebie swoją harleyowską kurtkę i odwiesił ją na ten sam co poprzednio haczyk. - Masz zamknięte okiennice, więc pewnie nie wiesz, co się wyrabia na zewnątrz. - Zbliżył się do ognia i zaczął grzać ręce. - Wszędzie białło! Zaspły! Myślałem już, że nie dojadę. Tych wąskich dróg wiejskich nikt nie odśnieża.

Mattie opadła z powrotem na sofę, przyjmując jednak pozycję obronną, na brzeżku, z gotowością do natychmiastowego oddalenia się.

- Więc jednak wróciłeś - stwierdziła.

- A miałem nie wracać? - Obrócił się ku niej. Patrzył nu nią i zastanawiał się, dlaczego ona nic kompletnie nie może zrozumieć.

No dobrze. Na razie nie będzie jej dręczył żadnymi wyjaśnieniami ani pytaniami. Niech ta biedna dziewczyna dojdzie do siebie, odżyje po porodzie i w ogóle

po tych sześciu miesiącach...

- Miałem parę ważnych rzeczy do załatwienia - zaczął mówić. - Wszystko się przeciągnęło, a potem z trudem przebijałem się przez śnieg. Nie zdążyłem nawet nic zjeść... A ty? - przysiadł obok Mattie. - Zdaje się, że też jesteś bez obiadu?

Kiwnęła głową.

- W takim razie ja coś szybko upichcę, dobrze?
-Niespodziewanie uśmiechnął się do niej. Wstał i ruszył w stronę kuchni. W progu odwrócił się. - A co z dzieckiem, śpi?

Znowu kiwnęła głową. Jest postęp, pomyślała. Zapytał o dziecko!

Kiedy zniknął, wyjęła z kieszeni bluzy mikroodbiornik odsłuchowy i sprawdziła, czy jest włączony. Emily dała jej w prezencie tę zabawkę, umożliwiającą szybką reakcję na płacz albo zakrztuszenie się maleństwa, nawet gdyby się było za dziesiątą ścianą.

A więc wrócił. Po co wrócił? Walczyło w niej uczucie ulgi oraz przeczucie nowych napięć, które muszą się pojawić. Boże! Kiedyż się skończy ta huśtawka, cały ten kontredans małżeński.

Gdy James zawołał ją z kuchni, posłusznie wstała. Znalazła męża manipulującego przy olejowym Rayburnie. Zaraz się odwrócił i zaprosił ją gestem do stołu. Poczciwy, sosnowy, wiejski stół...! I te wszystkie pachnące zioła, uwiązane pęczkami do belek powały. I ta-

lerze w kwiaty, za szybą naiwnego kredensu. Mattie poczuła, że ogarnia ją wzruszenie. Naprawdę kochała swój wiejski domek.

A do tego jest dziś jeszcze James, i coś tam już bulgocze w garnkach. Prawie rodzinny wieczór... Prawie.

James wyjął z kredensu dwa talerze. Powyłączał palniki, zaczął odsączać warzywa. Uniósł pokrywkę patelni, z której buchnęła woń smażonych steków. W salaterce na stole już wcześniej umieścił jakąś mieszaninę sałatek.

- Smacznego - powiedział, stawiając talerz przed Mattie. - A potem lulu! Musisz odpocząć. - Odkorkował butelkę czerwonego wina i napełnił dwa kieliszki. - Myciem naczyń ja się zajmę.

Głupie łzy zaczęły jej się cisnąć do oczu; gotowa się była rozkleić z jakiejś nagłej wdzięczności. Co ten człowiek z nią robi! Owija ją sobie po prostu wokół palca, kiedy zechce.

Jadła z apetytem, lub raczej skwapliwie, aby mu pokazać, że docenia ten obiad i opiekę, jaką nad nią jednak roztoczył. Opróżniła pół kieliszka wina, potem wcisnęła klawisz małego radjka i przez chwilę słuchali oboje koled bożonarodzeniowych, nadawanych przez BBC. „Cicha noc...”, zaśpiewał chór dziecięcy.

- Cicha noc - powtórzył James. - No właśnie, Mattie, dla ciebie to już noc. Widzę, że ci się zamykają oczy. Wobec tego pa, idź spać. Ja tu zrobię porządki.

- Dzięki - zamruczała cicho. Chciała dodać coś jeszcze o nagle objawionych talentach kulinarnych męża,

przypomnieć mu, jak to dokładnie rok temu razem klecili obiad w kuchni Berrington House, ale naprawdę zamykały jej się już oczy. I pomyślała też, że lepiej może nie tykać starych wzruszeń. Zaczęła się podnosić. - Jeszcze raz dziękuję - powiedziała. - Rzeczywiście pójdę się położyć.

Na piętorku zrzuciła bluzę, wślizgnęła się szybko pod kołdrę i równie szybko zasnęła. Oczywiście mamy niemowląt nie wiedzą, co to jest noc... Mattie obudziła się jeszcze tego samego wieczoru, zaalarmowana płaczem Chloe, dobiegającym ze sprytnego aparaciku. Zerwała się i półprzytomna, odgarniając włosy cisnące jej się do oczu, popędziła na dół.

- Lecę, skarbeczku, lecę - mruzczała po drodze. - Mama da zaraz jeść i przewinie dziecko.

No i zaczęło się przewijanie, pudrowanie, oliwienie, przebieranie w suche śpioszki, przystawianie córki do piersi, potem do drugiej. A zanim skończył się ten seans, do dziecinnego pokoiku wkroczył James.

Był tylko w czarnych bokserkach; przyniósł na tacy kubek gorącego mleka. Serce Mattie zadrzało. Źle jej się wczoraj wydawało, że jest chwilowo odporna na mężczyzn. Co za tors, pomyślała, jakie uda i ramiona. Natychmiast przypomniały jej się wszystkie miłosne wtajemniczenia, które przechodziła z Jimmiem. O Boże, dlaczego on ją tak kusi, dręczy? Przecież rozwiodą się, tak czy owak. Nie ma przed nimi innej przyszłości. A może jest?

- Usłyszałem, jak pędzisz po schodach. - James postawił tacę na wolnym krześle. - Domyśliłem się, że do dziecka.

- Przepraszam, że cię obudziłam - powiedziała cicho i pocałowała Chloe w główkę.

- Nie ma za co. - Wzruszył ramionami. - Jestem tu po to, żeby ci pomagać. Przecież wiesz. A to mleko... - dodał - Nie znam się, ale zdaje mi się, że karmiące matki muszą dużo pić.

Zerknęła na niego. Co za zmiana postępowania, zaledwie w parę godzin? Jaka dobroć. Żadnych gestów niechęci względem córeczki. Czy to ten sam człowiek?

- No a co z Londynem? - zapytała ni w pięć, ni w dziewięć. - Właściwie jak długo zostajesz w Dorset, dzień, dwa?

James schylił się i zaczął zbierać z podłogi różne dziecięce drobiazgi, mokre śpioszki, pieluszki. Poskładał je na komodzie.

- Zostanę, dopóki będę potrzebny - stwierdził z naciskiem.

Poczuła nagły skok serca. Zostanie dłużej? A więc jednak... Nie śpieszy się tym razem do Fiony. Kochanka nie jest dlań ważniejsza od dziecka i żony. Dzieją się cuda.

Chloe, nakarmiona, usnęła. Mattie wstała i wiedzioną impulsem podeszła do męża.

Może chciałbyś ją tym razem potrzymać? - zapytała. - Nie obudzisz jej. Będzie spała aż do następnego przewijania.

Zrobił krok w tył.

- Nie - pokręcił głową. - Jeszcze nie. - Widząc zawód na twarzy żony, złagodniał. - Wiesz, sporo musimy sobie najpierw powiedzieć. Zdażyłaś mnie prawie odzwycząić od myśli, że jestem ojcem tego dziecka, 'tamtego dnia... - zawiesił głos. - Nie dałaś mi szansy, Mattie, żebym się jakoś pozbierał. Po prostu odeszłaś. Odwróciłaś się na pięcie, wyszłaś z pokoju i zniknęłaś z domu. A teraz... - wzruszył ramionami.

- Jak to nie dałam ci szansy? - Mattie oparła się o łó-
żeczko Chloe. - Wyszłam z domu, ale nie zapadłam się
pod ziemię. Mogłeś zgadnąć, gdzie jestem. Od początku
zresztą znałeś podobno mój adres w Dorset. Gdybyś
chciał ze mną porozmawiać... Szansa, mówisz...

James westchnął.

- Lepiej się teraz nie spierajmy. - Zacisnął usta tak, że
stały się wąską kreską. - Życie jest czasem bardziej
skomplikowane, niż nam się zdaje. - Schylił się, podniósł
kubek mleka i podał go Mattie. - Pij, bo całkiem wy-
stygnie... No, a ja już sobie lepiej pójdę, dobranoc.

Ruszył w stronę drzwi. W progu odwrócił się jeszcze.

- I zastanów się, Matts, czy rzeczywiście dałaś mi
taką szansę o jakiej ja myślę. Zastanów się.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jakie to szczęście, że miała takie niewymagające dziecko. Chloe przespała całą resztę nocy.

Natomiast sama Mattie nie zmrużyła prawie oka. Po rozmowie z Jamesem obracała się z boku na bok, zastanawiając się najpierw długo nad tym, co powiedział, a potem nad tym, czego nie powiedział.

Najchętniej wstałaby i poszła do niego. Poprosiłaby, żeby ją po prostu przytulił. Przytulił - nic więcej. Oczywiście nie poszła, nonsens. Wciąż jest między nimi ta Fiona, no i długie, długie miesiące narastającej obcości.

Był szary świt, gdy usłyszała męża, jak schodzi na dół. Ponieważ Chloe wciąż nie odzywała się w jej aparaciku, pomyślała, że zdąży może umyć włosy? Stojąc pod prysznicem spróbowała sobie wyobrazić, jak teraz James rozpala na dole ogień. A potem pójdzie do kuchni i zacznie robić jakieś śniadanie. Skoro jest na dole, dlaczego miałby nie zacząć?

I o czym to będą dziś rozmawiać? O jakich szansach i prawdach? Co on ma na swoją obronę? Jeśli w ogóle zechce się bronić. Bo przecież jemu nie zależy na niej, na żonie. On kocha Fionę.

Zakręciła kran. Westchnęła. No cóż, mimo wszystko trzeba dalej żyć.

Postanowiła nie wkładać dzisiaj żadnych, ale to żadnych mamusiowatych łachów. Postara się wyglądać ładnie: czemu nie! Zmieściła się w dżinsy, choć bez dopinania zamka... Włożyła jasną koszulę z metalowymi guziczkami i na to swoją wczorajszą wełnianą bluzę. Zrobiła dyskretny makijaż.

Poczuła się odświeżona; mimo nieprzespanej nocy gotowa była stawić czoło temu... temu mężczyźnie na dole.

A więc co on będzie miał na swoją obronę, jeżeli zechce się bronić? Jakiego to kota zechce odwracać ogonem? Bo pewnie zechce. Ale wszystko na nic, bo czy nie utrzymywał od samego początku, że nie życzy sobie żadnych dzieci? A zejście się z Fioną, czy nie jest potwierdzeniem faktu, że gotów był zaakceptować tylko kobietę, która wyrzeka się macierzyństwa?

Tak, tak, James to krętacz i hipokryta.

Nie zapowiada się dziś łatwy dzień, pomyślała Mattie.

Przejrzała się w lustrze, po czym nabrała powietrza, wyprostowała się i ruszyła ku schodom prowadzącym na dół.

To, co zastała na parterze w saloniku, całkowicie ją zaskoczyło. I więcej niż zaskoczyło: wzruszyło!

Rzeczywiście na kominku palił się ogień, tak jak przewidywała. Ale to nie wszystko. Bo James kończył właśnie ubierać choinkę... I to jaką! Pod sufit.

Usłyszawszy jej kroki, odwrócił się i uśmiechnął się do niej szeroko.

Mattie stała, kręcąc głową.

- Piękna, bardzo piękna - powiedziała.

Choinka miała na szczycie gwiazdę, na gałęziach mnóstwo bombek, łańcuchów, kokardek i skrzydlatych aniołków. Pachniała jak cały las. James umieścił ją między dwoma oknami - a za oknami był właśnie złotobłękitny poranek, z pierwszym słońcem, z czystym niebem i z puchem śnieżnym na krzewach w ogródku, który Mattie przywykła uważać za swój.

Poczuła, że zbierają jej się w oczach łzy.

- Bardzo, bardzo piękna - powtórzyła cicho. Chciałaby Jimmiemu powiedzieć, że i on jest bardzo piękny. Zastała go w wąskich czarnych dżinsach i w płowym swetrze z golfem. Jego regularne rysy, nieraz o pozorze surowości, ozdabiał teraz nieprzerwanie miły uśmiech. Pomyślała, że ma przed sobą wzór męskiej doskonałości.

- Skąd wzięłaś tę choinkę? - zapytała, ocierając oczy.

- Z Dorchester. To między innymi z jej powodu, no i tych wszystkich ozdóbek, nie było mnie wczoraj tak długo... Hej, Mattie - ruszył w jej stronę. - Chyba nie będziemy płakać w Boże Narodzenie? Dzisiaj jest dzień radości. Udawajmy przynajmniej, że jesteśmy szczęśliwi, co?... Chociaż czytałem, że młode matki miewają oczy „na mokrym miejscu” z nadmiaru tkliwości...

Czy naprawdę czytał o czymś takim? Zainteresował

się w ogóle książkami o macierzyństwie i tym, co się z nim wiąże? Jakoś nie mogła sobie tego wyobrazić. A to jego „udawajmy, że jesteśmy szczęśliwi” zabrzmiało szczególnie gorzką nutą.

Jeśli jednak on gotów jest podjąć swoją rolę, dlaczego by się nie miała przyłączyć? Drzewko jako rekwizyt pojednania, choćby chwilowego, ma swoją wymowę.

- A co z Chloe, śpi? - zapytał.

Wymówił imię swej córeczki. Pierwszy raz! Podbił ją tym i zupełnie zmięła.

- Chyba śpi. Mój aparacik na razie milczy - wyjęła urządzenie z kieszeni.

Podeszła do choinki.

- Aleś się napracował - powiedziała. - Wobec tego może ja zrobię śniadanie, chcesz? A ty sobie odpocznij.

- Podoba mi się ten pomysł - skinął głową. Ruszyli do kuchni.

Nie zapytała go, co zechce zjeść, bo знаła przecież jego zwyczaje. Nakroiła bekonu, przygotowała połówki pomidorów do grilla, otworzyła karton z sokiem pomarańczowym, umieściła kromki chleba w opiekaczu. Stawiając przed nim dzbanek ze świeżą kawą, starała się unikać jego wzroku. Rozumiała, że ów pomysł z „udawaniem szczęśliwych” odsuwa tylko nieco w czasie powrót do przykrew rzeczywistości.

Odwróciła się w stronę kuchenki. A może to ona powinna pierwsza zacząć?... Rozmowę o realiach. Może powinna opowiedzieć, z czym przyszła wtedy na Bel-

grawie, pół roku temu, z jaką chęcią pojednania. I jak ją zdruzgotała Fiona. I...

Już miała przystąpić do rzeczy, gdy nagle usłyszała:

- Wspaniale, Mattie. Pięknie to wszystko pachnie.

Czuję, że nakarmisz mnie nie gorzej niż naszą małą Chloe.

Natychmiast znowu zmięła. On się wyraźnie przy-mawia. Ech... Realia mogą poczekać. Nawet jeśli ta pochwała i miły ton są właśnie zapowiedzianym „udawaniem”, to niechaj sobie będą. No i po raz drugi wymówił imię ich córeczki. Może to dziecko będzie jednak miało ojca: chociaż trochę?... Udawajmy szczęśliwych, niech trwa zawieszenie broni. W Boże Narodzenie nawet walczące ze sobą wojska zawierają niekiedy rozejm.

Sięgnęła po talerze do kredensu. Wyjęła z piecyka bekon i pomidory. Podała na stół grzanki i masło.

- Smacznego - powiedziała.

Zasiedli naprzeciw siebie. Mattie tak jak wczoraj wcisnęła klawisz radyjka, i tak jak wczoraj popłynęły kolędy. Przez chwilę jedli, milcząc.

- Zauważyłem, że masz tu komputer - odezwał się James. - Znowu coś robisz dla agencji?

Skinęła głową.

- Owszem. Chociaż nie tyle, co kiedyś. Ojciec wyposażył mnie, pamiętasz chyba, w jakiś tam kapitał. Żyję z odsetek, dorabiając tyle, żeby nie naruszyć głównej sumy.

- Bardzo rozsądnie - pochwalił James.

- Mam dzięki temu sporo czasu i mogłam urządzić sobie ten domek, no i ogród dookoła...

- Wiem, wiem - przerwał jej. - O wszystkim opowiadała mi na bieżąco Emily... I muszę ci powiedzieć, że się ucieszyłem, kiedy wynajęłaś tamtego emeryta do cięższych robót - uśmiechnął się. - Do kopania grządek, do malowania sufitów.

Emily opowiadała mu? Już dawniej? Czyżby się nią interesował pomimo rozłąki? Może nie był tak obojętny i daleki, jak myślała. Zna tyle szczegółów...

Zaczęło ją ogarniać coraz większe ciepło i uczucie odprężenia. A kiedy James powiedział: „No, rzeczywiście wymościłaś tutaj gniazdko. Prawdziwy dom. A jak go właściwie znalazłaś?”, roześmiała się prawie. Bo właśnie w śmieszny sposób znalazła się w ogóle w Dorset.

- Wierz albo nie - odsunęła talerz - ale początek był taki, że zanim opuściłam Londyn, kupiłam najpierw używanego forda i mapę. I zamierzałam początkowo ruszyć gdzieś na północ. Ale znalazłam się w Dorchester - zanim pojęłam, że obrałam zły kierunek. Zamiast zawracać, pomyślałam, że zajrzę tu na miejscu do jakiegoś pośrednictwa wynajmu. Zajrzałam i polecili mi tani domek na prowincji... Ten właśnie.

James kręcił głową i śmiał się razem z nią.

- Ech, Mattie! Zawsze ta sama... Wybiera się na północ, żeby wylądować na południu. A jak ci każą skrócić w lewo, jedziesz oczywiście w prawo... Martwię się

o ciebie - spowaźniał. - Naprawdę się martwię. Nie powinnaś zwłaszcza siadać za kółkiem!

Oczy Mattie załśniły. Teraz już nie musiała udawać, że jest szczęśliwa. Powiedział, że się martwi o nią, a więc nie jest dla niego byle kim. Zaczęła w niej ożywać nadzieja. Kto wie, może nie układa mu się z Fiona? To by nawet tłumaczyło, dlaczego nie spędza Bożego Narodzenia w Londynie. I może chce jakiejś naprawy małżeństwa? Zachowuje się teraz tak miło...

Mattie wiedziała, że nigdy nie będzie miłością jego życia, ale przez wzgląd na Chloe mogliby mimo wszystko popробować być rodziną.

Czy jednak wybaczyłaby mu jego zdradę? Gdyby rzeczywiście chciał wrócić?

Westchnęła. Odpowiedź może być tylko jedna: trzeźwe „tak”. Kocha go już tyle lat, że prawie czuje się jego częścią. Są jakby jednym w dwojgu... Objęła go swoim własnym instynktem samozachowawczym!

Podążała za nim wzrokiem, gdy zaczął wstawać od stołu. I nagle zwątpiła: pomyślała, że buduje jakieś zamki na lodzie... Skąd jej przyszło do głowy, że mąż zechce do niej wrócić?!

James podszedł do komody. Czego on tam szuka? Poczwała, że powinni natychmiast zacząć mówić o tym, co jest ważne. Dostyc już tego przeciągania niewyraźnej sytuacji, całej tej niepewności i gry.

Lecz on ją wyprzedził. Położył przed nią na stole dużą brązową kopertę, sam stając za jej krzesłem.

- To dla ciebie. Wesołych Świąt, Marts.

Pewna bezbarwność w jego głosie zaniepokoiła ją. Targnęło nią złe przeczucie. Otworzyła kopertę i oto ujrziała parostronicowy dokument. Zorientowała się, że jest to wystawiony na jej nazwisko akt własności domu.

I pomyślała, że to dobrze, iż James stoi za nią i nie może widzieć jej reakcji. Bo zrobiło jej się nagle bardzo smutno.

- Jesteś hojny - wymusiła na sobie podziękowanie... A więc tak się sprawy mają. On nie chce jej powrotu. Chce, żeby mu nie zawadzała i pozostała tutaj, na wsi. Kupuje sobie czyste sumienie, zapewniając jej własny dach nad głową. Lecz nie ma to być ich wspólny dach.

Jakże się myliła, sądząc, że mogłoby być inaczej. Myliła się? Ależ była po prostu głupia! Biedna idiotka, która gotowa jest w nieskończoność kochać bez wzajemności.

Nikczemnik!

James poruszył się.

- Kiedy dowiedziałem się - powiedział - że tak pokochałaś to miejsce, skontaktowałem się z właścicielem i... Bo znając ciebie byłem pewien, że sama nie pomyślisz o długoterminowej dzierżawie. A ja wolę, żeby nikt ciebie nie mógł stąd z dzieckiem wyrzucić z dnia na dzień.

- Bardzo przewidujące - wycedziła. - Bardzo. Wsunęła dokumenty do koperty, wstała i podeszła do okna. Popatrzyła na błękitne niebo. Puste, czyste niebo.

A więc będzie w życiu sama... Trudno: musi być silna i da sobie ze wszystkim radę.

W tej chwili nie czuła się jednak silna. Co za los, pomyślała, co za szarpanina.

- Mattie. - Jego głos przepłynął gdzieś bokiem.
-Mattie.

Odwróciła się niechętnie. Dopóki on tu jest, wciąż będzie trwało napięcie i wciąż będzie trwała szarpanina. Powinna coś zrobić, żeby wreszcie na dobre odszedł.

- Czy ty naprawdę chcesz rozwodu? - zapytał. Spojrzenie jego oczu, łagodnie zatroskane, delikatność tonu, jakiego użył, wydały jej się jakimś dalszym ciągiem gry.

Oczywiście, że nie chciała rozwodu. Ale też nie pragnęła żadnej więcej gry: zwłaszcza takiej, w której ma swój udział Fiona. A udział ten ulega teraz potwierdzeniu. Na stole leży brązowa koperta. James pragnie mieć wolne ręce. Od żony woli kochankę.

- ...Tak, chcę - odpowiedziała.

- Rozumiem. - Jego rysy stężały. - Rozumiem. Mattie próbowała opanować wewnętrzne drżenie.

- Myślę, że dobrze będzie - zaczęła mówić - gdy nas opuścisz od razu, kiedy drogi staną się przejezdne...

Skrzyżował ramiona na piersi. Nie wyglądał na kogoś, kto ma ochotę się stąd ruszyć.

- Ale powiedz mi jedną rzecz. Dlaczego? - Zrobił krok w jej stronę. - Jak ty się błyskawicznie zmieniasz! W ciągu pół minuty potrafisz być szczęśliwa, a zaraz po-

tem mówisz, że jesteś w ciąży i chcesz rozwodu. I odwracasz się na pięcie, znikając Bóg wie gdzie... Dlaczego!

- Ależ to chyba oczywiste! - szybko wyrzuciła z siebie. - Powtórzę ci to jeszcze. Przecież ty nie chcesz być ojcem. I ja wiedziałam, co się stanie, gdy moja ciąża wyjdzie na jaw. Zresztą oświeciła mnie dokładnie w tej sprawie Fiona. Rozwód!... No więc ja postanowiłam być pierwsza. I wiedziałam też, że ty ją kochasz, nie mnie. A potwierdzeniem tego jest przecież szybkość, z jaką zamieszkaliście razem po moim odejściu.

Przerwała. Przez krótką chwilę mierzyli się oboje wzrokiem. Wreszcie on wybuchnął:

- O Boże! A więc ty mnie tak oceniasz! No, no. To jest po prostu dno. Naprawdę myślisz, że sprawy tak się mają?!

Widziała, jak zaciska pięści. Chyba jej nie uderzy? Albo nie wyrznie w ścianę czy okno?

- Aleś sobie ułożyła o mnie bajeczkę... Mattie! Po tylu latach przyjaźni masz mnie za takiego łobuza? - Dyszał, cofając się powoli. - Noo - pokręcił głową - to my chyba rzeczywiście nie mamy przed sobą przyszłości. Przecież ty mnie w ogóle nie szanujesz. - Zatrzymał się. - Iw takim razie rzeczywiście żegnaj... - Odwrócił się i wybiegł z kuchni.

- James!

Zareagowała niestety za późno. Chciała za nim pobiec, ale stuknęły drzwi frontowe. Była nie ubrana, za chwilę

może się obudzić dziecko. I gdzie go ona znajdzie w tym śniegu?

Z jękiem osunęła się na podłogę. Ukryła twarz w dłoniach. .. Czy naprawdę aż tak źle pojmowała dotąd wszelkie uczynki oraz intencje męża? Na opak? Czy rzeczywistość jest całkiem inna? Czy własną niezręcznością zniweczyła największe szczęście swego życia, największą obietnicę szczęścia?

RS

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

W niewiele minut później Mattie usłyszała znów szcęknięcie drzwi. Podniosła się ciężko, ocierając łzy. Pewnie to James, bo któżby inny. Oczekiwała, że zadudnią zaraz jego kroki na schodach; pójdzie na górę po swoje rzeczy, to jasne. A potem zaryzykuje odjazd, mimo zasp.

Ale kroki nie zadudniły. Zamiast tego otworzyły się drzwi do kuchni.

Nie miała siły spojrzeć na niego. Zbyt była wyczerpana, zawstydzona, rozczarowana.

Stali o cztery kroki od siebie i narastała między nimi cisza. Cisza i obcość. Mattie powoli ruszyła w stronę stołu. Nic się nie da zrobić - ale zawsze można posprzątać brudne talerze.

- Matts - odezwał się James.
- Zapomniałeś czegoś? - Przełamała się i podniosła oczy.
- Chyba tak. Zdrowego rozsądku. - uśmiechnął się trochę krzywo. - Myślę, że oboje zapędziliśmy się... Za dużo emocji, za mało logiki w tym wszystkim.

Zrobił kilka kroków i stanął przy niej.

- Zostaw te talerze - powiedział. - Ja pozbięram. I zrobię nową kawę, dobrze?

Patrzyła, jak zgrabnie porządkuje stół, odstawia naczynia do zlewu, odkłada nieszczęsną kopertę na komodę, uruchamia ekspres.

- Siadaj - zachęcił. - I porozmawiajmy jeszcze.

Po chwili dzbanek z kawą stał na stole. Obok niego James położył ocalony z galimatiasu po śniadaniu aparacik odsłuchowy.

- Chloe ciągle śpi? - zdziwił się.

- Dobrze dziecko... - uśmiechnęła się smutno Mattie. A więc logika, zamiast emocji. Być może James ma rację. Ludzie nie panują nad sobą, najpierw działają, dopiero potem myślą. Z fatalnymi skutkami.

Patrzyła, jak mąż mocuje się ze sobą. Zacisnął zęby, zaciskał też palce na kubku z kawą.

- Mattie... - zaczął. - Kiedy wyskoczyłaś wtedy z tą ciążą i rozwodem, we mnie jakby piorun strzelił. Nie mogłem się pozbięrać. Pomyślałem, że najlepiej będzie, jeśli prześpimy się z tą nowością i spokojnie pogadamy o tym rano. Ale ty od razu zniknęłaś z domu.

Zadrzała. Wolałaby już nie wracać do tamtych zdarzeń. Roztrząsała ich sens tak długo, całe sześć miesięcy. Teraz wbiła oczy w stół.

- Co, nic nie mówisz? Chciałbym dotrzeć do tego, co wtedy działało się naprawdę w twojej głowie, pomóż mi więc. Jeśli nasza córka pośpi jeszcze z dziesięć minut, może uda nam się wyjaśnić najważniejsze rzeczy.

Z aparaciku na stole wydobywało się cały czas jedynie cichutkie posapywanie. Mattie życzyła już sobie nieomal płaczu głodnego dziecka, bo wtedy nie musieliby brnąć dalej w tę jątrzącą wiwisekcję.

James odczekał chwilę i znów zaczął:

- Od początku wiedziałem, że tu jesteś, już ci mówiłem. Po twoim kategorycznym odejściu bałem ci się jednak narzucać. Zwłaszcza że nie odpowiadałaś na listy, które ci słałem przez ojca. I dopiero kiedy dowiedziałem się o narodzeniu naszej córki, uznałem, że nie będę dłużej zwlekał. Zjawiłem się.

- Rozumiem - skinęła głową. - Ale co ja mogę jeszcze powiedzieć? Przedstawiałam ci już swoje racje.

- Racje? - James obrócił się nieco na krześle i założył nogę na nogę. - No dobrze, nie myśl, że nie próbowałem wejść w twoje racje. Przychodziły mi do głowy różne wersje, na przykład taka, że chciałaś mieć ze mną dziecko, bez względu na to, czy mi się to podoba, czy nie. I kiedy zaszłaś w ciążę, ja sam przestałem ci być potrzebny.

Powiedziawszy to, badał ją wzrokiem. Nic nie wybałał, zaczął więc mówić dalej.

- Inny domysł: istnieje coś między tobą i moją byłą narzeczoną. Być może masz kompleks na jej tle? Właściwie bez przerwy nawiązujesz do Fiony.

Mattie poczuła się, jakby ją coś dźgnęło. Jak on śmie tak teoretyzować! Przecież tu fakty mówią same za siebie! Nachyliła się przez stół.

- To nie ja do niej nawiązuję, to raczej ty jesteś z nią związany! Może zaprzeczysz? Wybrałeś pannę Campbell-Blair, bo obiecała nie zawracać ci głowy potomstwem, bo poza tym kochacie się przecież, a ja, co ja znaczę, co w ogóle kiedykolwiek dla ciebie znaczyłam?! - Zachłysnęła się. Poczowała, że zaraz się rozpłacze. - Stałam jak idiotka pod twoim domem, a ta ślicznotka nagrywała się ze mnie, tryumfowała, odsyłała mnie do twoich adwokatów!

- Mattie, przestań! - poderwał się James. - Pleciesz bez sensu! Kiedy wyście rozmawiały? Ja o tym nic nie wiem...

Głos jego złagodniał w ostatnim zdaniu, lecz nie ułagodziło to Mattie. Skoro już zaczęła, musiała wyrzucić z siebie cały żal.

- Nie udawaj, że nie wiesz! - wołała. - Wszystko zaczęło się na tym spędzie dobroczynnym. Tam flirtowałeś z Fioną, a ona mi wcześniej zdążyła powiedzieć, że wróci do ciebie... I rzeczywiście wróciła. No i rozmawiałam z nią właśnie na Belgravii...

- Czekaj, czekaj - przerwał jej. - Zdaje się, że coś zaczynam kojarzyć. Wtedy na tym balu... Więc ty myślisz, że ja z nią flirtowałem? Ależ wręcz przeciwnie, to ona próbowała flirtować ze mną, jeśli musisz wiedzieć, jednak wyśmiałem ją, oświadczyłem, że miejsce przy mnie jest zajęte, i to przez kogoś bardzo miłego, przez moją żonę. - Uśmiechnął się do Mattie. - Bo tak przecież było, prawda?

Patrzyła na jego usta, gdy mówił i pytał, i nie wiedziała, czy może dać wiarę jego słowom.

- Mattie - podjął James. - Zafundowałaś mi sześć najgorszych miesięcy w moim życiu, a wszystko to zdaje się przez nadmiar wyobraźni, brak zaufania do mnie, a zamiast tego poleganie na bredniach tej panny Campbell-Blair... Której zresztą nigdy nie kochałem, wbrew temu, co ci się zdaje i co myśli sama Fiona.

- Jak to! - wyrwało się Mattie. - Nie kochałeś swej narzeczonej?

- Nie dała mi szansy, tak bym powiedział. - James w zakłopotaniu przeczesał ręką włosy. - Hm... Ja się w ogóle nie zakochuję łatwo. A z Fioną było tak, że wydawała mi się dobrą kandydatką na żonę aż do pewnego party, kiedy wypła za dużo i przestała się kontrolować... Chociaż: czy była w ogóle dobrą kandydatką? - zaczął głośno myśleć. - Nieraz mnie denerwowała jej pustota... No, ale należała do tych niewielu kobiet, którym nie marzą się dzieci. - Westchnął i spojrział w okno. - W każdym razie sporo wypła i dość głośno opowiadała jednej z przyjaciółek, jakiego to frajera udało jej się złowić i jak ona go oskubie. Dosłownie: „fajera” i „oskubie”! - James potrząsał głową. - Jeszcze tego samego dnia zerwałem z nią. To ja z nią zerwałem, nie ona ze mną, wbrew temu, co opowiedziała potem pewnej gazecie i w ogóle powtarzała dookoła... Wierzysz mi, Mattie?

Chciałaby mu wierzyć, naprawdę. Czowała, że jednak musi jeszcze o parę rzeczy zapytać.

- Jimmie, ale powiedz mi, co ona robiła u nas w domu w tamtą niedzielę... No wiesz. Zjawiłam się, żeby z tobą porozmawiać, a drzwi otworzyła mi ona. I opowiadała, jak się cieszycie, że macie mnie z głowy, mówiąc w skrócie.

- Co takiego?! - James złapał się za głowę. - Jezu Chryste... - Przez chwilę siedział w milczeniu. Potem sięgnął przez stół i ujął w swoje dłonie ręce żony. - To straszne nieporozumienie - powiedział. - To całkiem prywatna intryga tej... tej... - szukał odpowiedniego wyrazu.

Mattie drżała. Czowała, że nerwy ma napięte jak postronki i że chce jej się równocześnie płakać, przeklinać i śmiać.

A James ciągnął dalej:

- Absolutnie nie wiedziałem wtedy, że stoisz pod drzwiami... Byłem prawdopodobnie na tyłach domu. Pani Briggs zaalarmowała mnie, pamiętam, że zastrajkowała nasza pralka i że jest jezioro wody na podłodze. A Fiona... - Matts, jeszcze sekundkę, nie wzdrygaj się. - A więc zaprosiłem ją tamtego dnia na chwilę rozmowy, nic więcej. - Zacisnął mocniej palce wokół przegubów żony. - Ponieważ poprzedniego wieczora napomykałaś o niej, zanim powiedziałaś, że chcesz rozwodu, więc pomyślałem, że ta spryciara ma w tym jakiś udział... I jak widzę, nie myliłem się.

Mattie westchnęła i spróbowała uwolnić ręce, jednak James nie chciał jeszcze puścić.

- Matts, uwierz mi!... Tamtej niedzieli prędko pożegnałem Fionę i odtąd staram się jej unikać. A wtedy nic z niej nie wydobyłem... Dzwoniłem za to do twego ojca, zresztą wiele razy, nagrywałem mu się na sekretarkę. Pukałem tam przez następne dni - i nic, wszystko na próżno. Zapadliście się wszyscy jak pod ziemię... Dopiero po jakimś czasie Emily powiedziała mi, że ty jesteś cała i zdrowa i że mieszkasz tutaj, w Dorset... Och, Mattie - James nabrał powietrza - proszę cię, wróć do mnie! Bądźmy znowu razem. Razem na zawsze.

Znów spróbowała uwolnić ręce i teraz jej się to udało. Czowała się nieco odprężona, ale postanowiła być ostrożna... A więc on nigdy nie kochał swojej narzeczonej. A czy pokocha kiedykolwiek ją, żonę? No i małą Chloe? Czy warto brnąć w małżeństwo, w którym na zawsze mogłoby zabraknąć miłości?

- James - powiedziała - powrót nie jest rzeczą prostą. Czegoś mi tu wciąż brakuje. Czegoś bardzo ważnego.

Wstała i aby ukryć nagłe wzruszenie, zajęła się pierwszą rzeczą z brzegu. A tym czymś był nieduży indyk, od rana czekający na wsunięcie do pieca, poobkładany przez Jamesa plastrami bekonu, jabłkami i śliwkami.

- Zajmę się tym - powiedziała. - Zmarnowaliśmy śniadanie, ale może przynajmniej obiad świąteczny uda nam się jakoś stworzyć?

Pochyliła się nad piekarnikiem, gdy wtem poczuła na ramionach ręce męża.

- Mattie... Czego brakuje? Co jest takie ważne?

Odwróciła się powoli. Trudno, będzie mu to musiała powiedzieć, chociaż jest to takie niezręczne. Przy okazji wyjdzie na jaw, że go zawsze kochała, a on będzie jej współczuł... Nauczyła się jednak ostatnio radzić sobie z tyloma rzeczami, że może i z tym współczuciem jakoś da sobie radę.

- Okej - wzruszyła ramionami. - Powiem ci, czego by nam brakowało. Uczuć. Twoich uczuć. I... Ale mi nie przerywaj. - Uniosła dłoń - Chyba wiem, skąd u ciebie taki kłopot z angażowaniem się. Opowiadaliśmy sobie swoje dzieciństwo, więc trochę się nawzajem znamy. Boisz się zranienia, dlatego wolisz w ogóle nie kochać. Ale ja... - przerwała i badała spojrzeniem jego reakcję.

James milczał.

Mattie westchnęła i postanowiła brnąć dalej.

- Nie ożeniłeś się ze mną z miłości, Jimmie, chociaż ja... Ale rozumiałam, że potrzebujesz wsparcia, po tej katastrofie z Fioną, i zresztą... Jednak miałam nadzieję, oczywiście głupią, że...

- To wszystko nie tak - delikatnie położył palce na jej ustach. - Zawsze byłeś w moim sercu, wierz mi... Zapewne rzeczywiście zostałem uszkodzony w dzieciństwie, ale nie do końca. Umiałem i umiem się przyjaźnić. - Opuścił rękę. - Złożyłem ci propozycję małżeńską nie dlatego, że chciałem wziąć odwet na Fionie, jak może sobie wyobrażałaś, czy też dla jakiejś wygody domowej i łóżkowej. To serce pchnęło mnie w twoją stronę, pod-

powiadając, że my we dwoje będziemy się umieli dobrze porozumiewać.

Chciała mu wierzyć. Chciała tak bardzo, że nagle spostrzegła, iż zapomniał się dziś ogolić, przez co wyglądał jeszcze bardziej seksownie. Jego chciała: nie tylko uwierzyć mu chciała!

James ujął jej twarz w obie dłonie i zaczął mówić z bardzo bliska.

- Mattie, ale to był tylko początek. Kiedy nagle zniknęłaś, dotarło do mnie, kim naprawdę jestem. To wielkie samolubstwo, gdy mąż odmawia żonie prawa do dziecka. Jakby sam chciał zająć jego miejsce. I postanowiłem się natychmiast zmienić. Zrozumiałem też, że cię kocham. Jeśli w ogóle umiem kochać, to ciebie kocham najbardziej z wszystkich ludzi. I nie mógłbym bez ciebie żyć.

Opuszkami obu kciuków gładził jej kości policzkowe i czuło się, że wszystko co mówi, jest szczerze.

Ogarnęła ją wielka fala szczęścia, czyniąc ją drżącą i słabą, niezdolną do wymówienia słowa. Podniosła tylko ku mężowi swoje złote i błyszczące teraz oczy.

- Mattie - podjął James - jeżeli chcesz rozwodu, możesz go mieć. Ale gdybyś zamiast tego wróciła do mnie, będziesz najbardziej uwielbianą z kobiet na świecie.

Przyrzekam ci to.

- A Chloe? - szepnęła. Uśmiechnął się.

- Obu moim kobietom oddam całą miłość, jaka we mnie jest... Więc jak? Zaryzykujecie?

- Myślę, że tak - odpowiedziała mu z uśmiechem. I zaraz się roześmiała w głos, bo do jej „tak” przyłączyło się kwilenie Chloe, dobiegające z aparaciku. Dziecko obudziło się właśnie w tej chwili, jak na zamówienie.

- I niech mi kto udowodni - poruszył brwiami James - iż życie nie naśladuje sztuki.

Śmiali się teraz oboje, całując się i obejmując, a potem on oświadczył, że przyszła jego kolej na zajęcie się córką. Nie czekając na odpowiedź, wybiegł z kuchni. Mattie zdążyła tylko rzucić za nim:

- Ja też cię kocham, Jimmie, ja też!

W parę chwil potem wrócił, ostrożnie niosąc ich skarb, przytulając swój policzek do malutkiej główki Chloe.

Podał dziecko żonie i całując obie dopytywał:

- A więc i ty mnie kochasz też? I wy kochacie też?

Pogładziła go po twarzy.

- Wygląda na to, że zapomniałeś się dzisiaj ogolić

- powiedziała. I dodała, spoglądając mu w oczy jak kobieta mężczyźnie: - Oczywiście, że cię kocham. - Usiadła w rogu kanapy, rozpinając koszulę i podając dziecku pierś. - Możliwe, że zawsze cię kochałam? - Uniosła głowę. - Od pierwszego dnia, w którym cię poznałam.

- Dziękuję, Matts - odrzekł po prostu, pochylając się i znów całując swoje oba skarby. - Dziękuję ci za wszystko, za wszystko.

Dziecko cichutko ssało, a James rozejrzał się dokoła.

- Mam pewien pomysł - powiedział. - Zaraz coś przyniosę. - I wybiegł z kuchni, jak za pierwszym razem.

Pojawił się z dziecinnym nosidełkiem, pełnym różnych drobiazgów pielęgnacyjnych, śpioszków i pieluszek.

- Otóż myślę - rzekł, składając to wszystko na kanapie - że jeśli w tym umieścimy Chloe, będziemy mogli tutaj razem, we trójkę, świętować Boże Narodzenie. Dobrze mówię? - uśmiechnął się. - Pokażemy dziewczynce choinkę - pochylił się znów nad córką. - A gdyby dziecko potrzebowało przewinięcia, mamusia mnie nauczy, jak się to robi. Prawda? Ja też takie rzeczy chcę umieć.

- Prawda i sto razy prawda. - Mattie odstawiła Chloe od piersi i podała ją mężowi. - Na razie ponoś ją troszkę, aż jej się odbije. A ja pójdę zajrzeć do naszego indyka w piekarniku. - Zaczęła wstawać z kanapy i zapinać koszulę.

Kiedy szła do kuchni, wydawało jej się, że tak naprawdę płynie trzy centymetry nad ziemią. James ją kochał, kochał także ich maleństwo. Nigdy w życiu nie była taka szczęśliwa jak. dziś. Nigdy.

Dogasał ogień na kominku. W bombkach na choince odbijały się resztki gasnących płomieni. Chloe mocno spała w swym nosidełku. Na jej małych usteczkach pojawiały się i znikwały banieczki śliny.

Mattie umościła się wygodniej w zagięciu ramienia Jamesa. Pierwszy dzień Bożego Narodzenia dobiegał oto końca, lecz zaczynało się, oboje to wiedzieli, dopiero teraz ich prawdziwe, wspólne życie.

- James - odezwała się sennym głosem. - A więc ten domek jest nasz... I co zamierzamy z nim zrobić?

Jakże niemądra była, traktując aż z taką obawą zwykłą brązową kopertę. A teraz gotowa jest zgodzić się na każdą propozycję męża, bo nagle kompletnie mu we wszystkim zaufała. Cokolwiek wymyśli James, będzie dobre.

- Też się nad tym zastanawiałem - poprowadził palec wskazujący prawej ręki wzdłuż linii jej nosa. - Myślę, że potraktujemy to miejsce jako nasz dom letni i weekendowy; tak będzie najprościej. Możemy też zaproponować pani Briggs, żeby się tu przeniósła na stałe. Poprowadzi nam gospodarstwo. Co ty na to? Starsi ludzie lubią być blisko natury. Mielibyśmy korzyść, i ona, i my.

- Uhm - skinęła głową Mattie. - To są dobre pomysły.

- Pytałem już nawet naszą gosposię - przyznał się James - czyby nie miała ochoty na to Dorset. No i powiedziała, że owszem, jak najbardziej.

- Ach ty! - zaśmiała się Mattie. - Z wyprzedzeniem byłeś pewien, że do ciebie wrócę?

Nic nie odpowiedział, tylko mocniej ją przycisnął.

- Dziecku będzie tu jak w raju - odezwała się Mattie.

- Tyle tu rzeczy do odkrycia, których nie ma w mieście... Oczywiście kiedy Chloe podrośnie.

- A w Londynie, na miejsce pani Briggs - ożywił się James - przyjmujemy kogoś młodszego. Kogoś, kto ci naprawdę pomoże w urządzaniu tych wszystkich party, no i w opiece nad dzieckiem. Nie chcę, żebyś się za bardzo

przemęczała. Musimy mieć siły, żeby ze sobą przeżyć wszystko, co warte przeżycia.

- I co warte miłości - zerknęła na niego. - Nie uważasz?

- Uważam, uważam - przyciągnął ją do siebie dwójgim ramion. - O, widzę, że chce nam się spać - uśmiechnął się, dostrzegając ziewanie, które Mattie próbowała stłumić, zaciskając usta. - W takim razie do łóżka, pani Carter, do łóżka!

Zaczęli się oboje podnosić.

- Chcę, żebyś dziś dobrze wypoczęła - powiedział. - Dlatego gdyby Chloe była w nocy głodna, sam ci ją przyniosę do karmienia. I może ją nawet przewinę. Co ty na to?... A rano dostaniesz kawę do łóżka.

- Słodki jesteś, Jimmie - wtuliła się w niego. - I żeby ci to już zostało tak na zawsze... Obyśmy oboje mogli być dla siebie dobrzy i tylko dobrzy.